

Anthony Laura

Samotni kochankowie

NIE ODCHODŹ, ZOSTAŃ ZE MNĄ

Jak co roku Wren Matthews zamierzała samotnie spędzić święta Bożego Narodzenia na swej ukochanej farmie. I nagle los sprowadził pod jej dach Keegana, obcego mężczyznę, który poprosił ją o schronienie na jedną noc, a został na całe święta. Spokojne życie Wren zostało wywrócone do góry nogami. Odkąd poznała tragiczną przeszłość Keegana, współczuła mu i pragnęła go zatrzymać. On jednak postanowił iść dalej - ścigał przecież mordercę swojej żony i dziecka...

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Wren Matthews wyjęła z pieca brytfannę i wyłożyła na dębowy blat kredensu ostatnią partię bułeczek nadziewanych orzechową masą i żurawinami. W powietrzu łączyły się aromaty świeżego ciasta, kawy i wołowej potrawki dochodzącej na małym ogniu.

Z radia stojącego na parapecie okiennym płynęła bożonarodzeniowa melodia, łagodząc odgłosy gnanej świszczącym wiatrem burzy śnieżnej. Jeszcze poprzedniego dnia świeciło słońce i było dość ciepło. W nocy temperatura spadła poniżej zera i rozszalała się śnieżycą.

Skończyła świąteczne wypieki tuż przed wieczornym udojem. Westchnęła na myśl o robocie, która jeszcze ją czeka.

Były dni, kiedy przygnieciona ciężarem wielkiej odpowiedzialności, zastanawiała się poważnie nad sprzedażą farmy i przeniesieniem się do miasta. Zawsze jednak porzucała tę myśl. Tak naprawdę to kochała swą mleczną farmę, która znajdowała się w rękach Matthewsów od trzech pokoleń. Gdyby stąd uciekła, to w pewnym sensie skalałaby pamięć rodziców.

Ciężko jej było zupełnie samej wszystkiego dojrzeć i wszystkiemu podołać. Gdyby tak udało się znaleźć do pomocy kogoś odpowiedzialnego. Dla takiej osoby miała

SAMOTNI KOCHANKOWIE

nawet niewielkie mieszkanie na piętterku nad solidnej konstrukcji oborą. Musiałby to być ktoś silny, nie unikający roboty. Ktoś, kto wykonywałby swoją pracę, nie narzucając się i nie zanudzając zbędnymi pytaniami. Ale jak takiego kogoś znaleźć?

Może powinna dać ogłoszenie do lokalnej gazety?

Od dłuższego czasu korzystała z pomocy jednego z uczniów miejscowego gimnazjum, w którym wykładała język angielski w najniższej klasie. Jeff był nawet niezły, a w każdym razie chętny.

Jednakże przed kilkoma tygodniami doznał kontuzji podczas międzyszkolnego meczu futbolowego i Wren została sama. Na szczęście przyszły święta i wraz z nimi zimowe ferie, ale koniecznie trzeba znaleźć kogoś przed wznowieniem lekcji w szkole.

Był jednak jeden poważny problem. Wren nie znosiła ludzi, których nie знаła. Zamykała się przy obcych, traciła pewność siebie, sprawiała wrażenie zahukanej. Potrzebowała więc kogoś, kto byłby do niej podobny i trzymał się od niej z daleka. Otrzyma listę obowiązków i będzie je spełniał w milczeniu:

Zdjęła i przewiesiła przez krzesło zielony fartuch z wyszytą głową Świętego Mikołaja, po czym pokuśtykała do kuchennych drzwi. Podczas takiej pogody odzywało się dawne złamanie nogi. Nie tyle ją bolało - bo rano połknęła kilka aspiryn, by uśmierzyć ból - co utrudniało chodzenie.

Z radiowego głośnika dobiegły słowa:

- „...minęła szósta, podajemy wiadomości...”

Wren nie zatrzymała się, by ich wysłuchać. Włożyła żółte gumowe buty i watowaną kurtkę, na ręce wciągnęła wyjęte z kieszeni kurtki grube rękawice.

SAMOTNI KOCHANKOWIE

7

Dobiegły do niej ostrzegawcze słowa radiowego spikera:

- „Strefa śnieżnych burz przesuwa się przez cały Teksas. W ciągu nocy spodziewane jest pogorszenie pogody... TemperatURY bardzo niskie, poniżej przeciętnej o tej porze roku... Zaleca się trzymanie dzieci i zwierząt domowych pod dachem. Nie wyjeżdżajcie samochodem, jeśli nie musicie. Drogi śliskie i miejscami nieprzejezdne...”

Wren mimowolnie zadygotała. Nie wiadomo dlaczego zrobiło się jej bardzo zimno. Gdyby tylko mogła, zaryglowałaby drzwi i spędziła wieczór pod ciepłym piecem, a potem położyła się do odziedziczonego po rodzicach szerokiego łóża z baldachimem, opatulila i popijając gorącą czekoladę, obejrzała może jakiś stary film nadawany przez którąś ze stacji późnym wieczorem. I pal diabli pogodę! Niestety. Na jej barkach spoczywała odpowiedzialność za farmę, za krowy, które nie byłyby zbyt zadowolone, że pozostawiono je same z nadmiarem mleka.

Niemal dotykała klamki drzwi, kiedy ktoś energicznie zastukał do drzwi. Odskoczyła o krok i znieruchomiała. Przez chwilę panowała martwa cisza, potem stukanie powtórzyło się. Jeszcze głośniejsze i jakby bardziej zdesperowane.

Czekała. Może jej się zdawało? Może to urwany konar czy złamana gałąź drzewa?

Stukanie w drzwi nie ustawało! Nie miała wątpliwości, że robi to człowiek. Ale kto to może być?

Kto mógł tu dobrać podczas śnieżnej burzy? Nawet przy lepszej pogodzie mało kto tu do niej zaglądał. Czasami pastor,

SAMOTNI KOCHANKOWIE

z rzadka jakaś kobieta z parafialnego komitetu, od czasu do czasu koleżanka, nauczycielka ze szkoły. Ale przecież nie w taką pogodę. W miasteczku Stephenville, Wren była znana jako kulawa, stuknięta stara panna ze starej farmy mlecznej. Niektórzy mówili, że podobno jako dziewiętnastolatka owa stara panna została oszukana przez zawodowego uwodziciela.

Było w tym trochę prawdy. Nawet teraz, po dziesięciu latach, Wren czerwieniła się na wspomnienie Blaine'a Thomasa i własnej głupoty. Usprawiedliwiała ją to? że wówczas, po śmierci rodziców, czuła się bardzo samotna i stanowiła łatwy łup dla sprytnego oszusta. Tym bardziej że był tak przystojny.

Seria uderzeń pięścią w drzwi zmusiła Wren do wyrwania się z bezruchu.

A może to któryś z sąsiadów znalazł się w nagłej potrzebie? Przecież trzeba mu pomóc! Ale bała się. Zasłoniła dłońmi uszy, jakby chciała zagłuszyć sumienie.

- Jest ktoś w domu?

To był głos mężczyzny. Silny, melodyjny, nie znoszący sprzeciwu.

- Potrzebuję pomocy...!

Te dwa słowa natychmiast wywołały wspomnienie dnia, kiedy sama wołała o pomoc. Na krwawiącej nodze wlokła się od drzwi do drzwi, błagając, by ktoś ją wpuścił. Dopiero w trzecim domu otworzyła jej para starszych ludzi...

- Potrzebuję pomocy! Bardzo proszę...! - Mężczyzna niemal błagalnie wypowiedział dwa ostatnie słowa.

Poruszyło to Wren. Ten człowiek może być ranny, tak

SAMOTNI KOCHANKOWIE

9

jak ona wówczas. Jednak nie otworzyła drzwi na oścież. Najpierw założyła łańcuch, a dopiero potem je uchyliła. W tym momencie niebo rozjaśniła błyskawica i na niemal oślepiająco białym tle ujrzała barczystą, zgrabną sylwetkę. Mężczyzna miał na głowie kapelusz bardzo podobny do tych, jakie w swoich filmach nosił Indiana Jones. Dostrzegła także, choć cofnął się o krok, jakby w obawie, że swoją bliskością może ją spłoszyć, iż ma na sobie czarną skórzaną kurtkę. To ją wystraszyło. Jego wygląd wydawał się groźny.

- Zagubiłem się - oświadczył mężczyzna.

Nie mówił po teksasku, miał dziwny twardy akcent. Chyba z północy. Może z Chicago? A w Chicago roi się od gangsterów...!

- Czego pan chce? - spytała.

- Chcę się gdzieś schronić przed zimnem i śniegiem...

- Niestety, nie będę mogła panu pomóc... - Zamierzała zamknąć drzwi.

- Trudno, rozumiem panią, ja też... - zaczął zrezygnowany.

To zatrzymało Wren. Pozostawiła małą szparkę i słuchała dalszego ciągu:

- Ja też nie wpuściłbym do domu obcego. Zwłaszcza w nocy, nie widząc dobrze, jak ten obcy wygląda. Do zobaczenia w lepszych okolicznościach! - Mężczyzna skulił ramiona, odwrócił się i ruszył w śnieżny mrok.

Wren zatrzasnęła drzwi i zaciągnęła ciężką zasuwę. Była rozdygotana. Serce biło jej jak szalone. Może stanowczą reakcją ocaliła życie. A może postąpiła nie

SAMOTNI KOCHANKOWIE

po chrześcijańsku, w taką noc odmawiając pomocy bliźniemu? Ten człowiek może zamarznąć na śmierć...

Czy nie powinna do kogoś zadzwonić i powiedzieć, że na jej farmie kręci się obcy. Ale do kogo miałyby zadzwonić? Oczywiście do szeryfa. Jazda, Wren, idź do telefonu i dzwoń! Łatwo to powiedzieć, trudniej wykonać. A jeśli uczyni tym krzywdę obcemu? Jest też inne „jeśli”: jeśli ten człowiek czatuje za jej domem z nożem w ręku i będzie usiłował dostać się do środka po wybiciu szyby? Dzwoń, Wren, dzwoń do szeryfa!

Pobiegła do telefonu i drżącą ręką podniosła słuchawkę. Przyłożyła ją do ucha i stwierdziła, że telefon nie działa...

Mężczyzna włókł się ciężko. Był rozczarowany, ale nie zdziwiony. Przez ostatnie sześć miesięcy przyzwyczał się do takiego traktowania. Ale co miał robić? Zaraz, zaraz, choć kobieta na farmie nie jest gościnnie, może tu... Szedł właśnie wzdłuż obory, w której paliło się światło. Podeszedł bliżej. Krowy! To jest mleczna farma! Krowy nie lubią zimna, obora jest na pewno ogrzewana. I z pewnością nie jest zaryglowana. Mógł tu spokojnie spędzić noc bez zgody właścicielki. Musiał ją bardzo przestraszyć. W szparze drzwi widział przez chwilę przerażone oczy. Oczy spanikowanej myszki. Odchrząknął z rozbawieniem. Twarzy kobiety nie widział dobrze. Ale chyba nic urzekającego. Taka twarz, której właściwie się nie dostrzega. Pewno mieszka sama i co wieczór umiera ze strachu przed włóczęgami i opryszkami. Zwłaszcza w taką noc. Obejrzał się przez ramię, pod-

SAMOTNI KOCHANKOWIE

11

szedł do drzwi obory i wszedł do środka. Raz jeszcze zerknął w stronę domu. Chyba może być spokojny. Ta kobieta z pewnością nie zdobędzie się na odwagę, by po ciemku iść przy tej pogodzie do obory. A on skoro świt pójdzie sobie, nie pozostawiając śladu.

Krowy powitały go cichym muczeniem. Pewno spodziewają się, że przyszedłem je wydoić, pomyślał. Było ciepło. Po raz pierwszy od wielu godzin mógł wyprostować przygięte z zimna plecy. Rozejrzał się dokoła i zobaczył drabiniaste schody na pięterko. Mruknął zadowolony i poszedł w ich kierunku, mijając po drodze kilkanaście boksów czystych i dobrze wykarmionych krów. Rozpoznał ich rasę: holsteiny!

Schodkami wszedł na górę i otworzył jedyne drzwi do po spartańsku umeblowanego pokoiku. Prycza z przetartym wojskowym kocem, obok pryczy elektryczny grzejnik nie podłączony do gniazdka, a po drugiej stronie urny walka i miska klozetowa za kretonową zasłoną.

Bardzo prymitywne, ale funkcjonalne, pomyślał. Nie mogłem lepiej trafić!

To że telefon nie działa, nie oznacza, że to ten człowiek przeciął druty, przekonywała się roztrzęsiona Wren. Pewno burza przewróciła słup. Ubiegłej zimy wydarzyło się to dwukrotnie.

Jednak nie mogła się opędzić przed myślami, które nadal chodziły jej po głowie. Ten mężczyzna z pewnością tylko się przyczaił.

Wren czuła, że ogarnia ją paniczny strach. Obeszła wszystkie okna, żeby sprawdzić, czy są dobrze zamknięte,

SAMOTNI KOCHANKOWIE

a zasłony właściwie zaciągnięte. Przez szparki usiłowała też cokolwiek dostrzec w mroku na zewnątrz, mimo pewności, że jeśli zobaczy za szybą twarz, to dostanie ataku serca.

Z radia w kuchni płynęła muzyka, piosenka po piosence. To ją trochę uspokoiło. Zastanawiała się, co ma teraz robić. Chodziła po kuchni z założonymi do tyłu rękami i myślała o krowach. Mimo sztormu słyszała ich mucze-nie. Krowy domagały się wydojenia. Zerknęła na zegar. Właściwy czas już minął.

- Przecież nie mogę tam teraz iść - powiedziała głośno.

Wyjść z domu w taką pogodę, kiedy może czyhać na nią śmiertelne niebezpieczeństwo? Ten człowiek pewno już sobie poszedł... Może poszedł, a może i nie, rozmyślała.

Zdenerwowana chodziła w kółko po kuchni, wreszcie trzepnęła się w udo i wykrzyknęła:

- Nie możesz chować głowy w piasek, głupia! Krowy muszą być na noc wydojone.

Jeszcze długo poczucie obowiązku zmagало się ze strachem. Wreszcie podjęła decyzję: pójdzie wydoić krowy, ale przedtem zje kolację. Przez ten czas mężczyzna z pewnością opuści okolicę.

Zrzuciła kurtkę, którą przez cały czas miała na sobie, podeszła do piecyka i nałożyła sobie na talerz porcję potrawy w gęstym brunatnym sosie. Potem zaparzyła herbatę, nalała do kubka, a z blaszanej puszki wyjęła garść krakersów i zasiadła za stołem.

Z obory dochodziło ją coraz głośniejsze i coraz bardziej

SAMOTNI KOCHANKOWIE

13

rozpaczliwe muczenie. Zaczęła jeść, ale po chwili odłożyła łyżkę. Musi iść do krów. Trzeba je wydoić.

- „Minęła siódma. Wiadomości! - popłynął z radia głos spikera. - Pogoda się pogarsza. Śnieżycy gęstnieje, a w niektórych rejonach padający dotychczas deszcz przeradza się w śnieg. Zawieje i zamiecie potrwać jeszcze do rana. Drogi śliskie. W ciągu ostatniej godziny temperatura obniżyła się średnio o sześć stopni...”

Słuchając tych niemiłych wieści z frontu pogodowego, Wren aż poczuła dreszcze.

- „Przed chwilą stanowe biuro meteorologiczne wydało komunikat, w którym zaleca kierowcom powstrzymanie się od jazdy zarówno po szosach stanowych, jak i między-stanowych...” - mówił spiker.

Wren wzięła krakersa i złapała się na tym, że myśli o mężczyźnie, który niedawno do niej pukał, prosząc o schronienie. Zrobiło się jej go żal.

Nagle coś zwróciło jej uwagę. Ale co? Przez długą chwilę nie mogła się zorientować, co to było. Hałas? Nie, odwrotnie. Cisza. Krowy przestały muczeć.

Zamarła na moment. Dlaczego przestały?

Słyszała tylko wyjący wicher i śnieg bijący w szyby. A przecież krowy powinny być coraz bardziej niespokojne. Dziwne. Wiedziała, że powinna iść do obory i sprawdzić, co się dzieje.

Okropnie się boję, pomyślała.

- Tchórz! - rzuciła pod własnym adresem.

Wzięła głęboki oddech, by nabrać odwagi, włożyła ponownie kurtkę i rękawice, po czym poszła do szafki z bronią ojca. Zupełnie nie знаła się na broni. Prawie nigdy jej

SAMOTNI KOCHANKOWIE

nie używała. Najwyżej dwudziestkę dwójkę na jadowite węże. Zdjęła ją teraz ze stojaka, zamknęła szafkę na klucz, a klucz schowała do kieszeni.

To jest niemal zabawka, pomyślała. Czy nadaje się do obrony? I czy ja potrafię strzelić do kogoś, nawet do złego człowieka?

- Potrafisz, potrafisz, jeśli twoje życie będzie zagrożone! - odpowiedziała sobie głośno.

Odbezpieczyła broń i wyszła na dwór. Rozejrzała się dokoła, ale w ciemnościach nie zobaczyła nic niepokojącego. Ruszyła w kierunku obory. Na szczęście światło z jej okna padało na podwórko. Szła ostrożnie, bo przecież mężczyzna mógł kryć się za którymś drzewem. Na chwilę błyskawica rozjaśniła mrok. Wszędzie panował spokój. Jednakże zbliżając się do drzwi obory, poczuła znowu lęk. A jeśli on jest w środku? Ostrożnie otworzyła drzwi i weszła. Pojęcia nie miała, czego się spodziewać. Ta cisza była niepokojąca...

Krowy najspokojniej przeżuwały, podłączone do automatycznych dojarek! Co tu się dzieje? W panice rozglądała się po oborze. Wszystko wydawało się w porządku. Kto mógł podłączyć dojarki? No oczywiście! Zrobił to ten mężczyzna! Ale dlaczego? On musi tu gdzieś być. Jaki on miał cel? Co zamierza zrobić?

Wren zadrżała ze strachu. I co dalej? On pewno jest na górze. Wszedł i ryczące krowy denerwowały go, więc żeby je uspokoić, podłączył dojarki.

Ruszyła wolno w kierunku schodów do pomieszczenia na górze. Broń trzymała w pogotowiu. Serce waliło jej jak

SAMOTNI KOCHANKOWIE

15

szalone. Minęła wszystkie boksy. Mężczyzny tu nie było. A więc jest na pięterku, tak jak podejrzewała. Minęła chłodzony zbiornik na mleko i spojrzała w górę schodów. Czowała, że włosy jeżą się jej na głowie. On pewno podgląda ją teraz przez jakąś szparę. O Boże...!

Może jest uzbrojony i mierzy do niej? Mogłaby zawrócić i umknąć do domu, ale telefon jest nieczynny i nie może zawiadomić policji. Co z tego, że się zarygluje. Znalazła się w pułapce. Co robić? Iść na górę? Zostać tu i czekać, aż on się ujawni?

Instynktownie wiedziała, że nie ma wyboru: musi stanąć z nim oko w oko.

Zakołysała się na słaniających się nogach i krzyknęła w kierunku schodów:

- Hej, panie! Wiem, że pan tam jest. Mam broń wycelowaną w kierunku schodów. Jestem doskonałym strzelcem. Niech pan się lepiej pokaże, nim zacznę strzelać. Podziurawię cały stryszek jak sito i pana też przy okazji...!

ROZDZIAŁ DRUGI

Mężczyzna stał tuż za drzwiami i przez szparę w deskach widział Wren z dwudziestką dwójką w roztrzęsionych rękach. Był nieco zdziwiony. Nie docenił odwagi tej kobiety. Wziął ją za lękliwą myszkę. Ma niewiasta charakter, pomyślał. Boi się, ale ma na tyle odwagi, że tu przyszła, z pewnością domyślając się, że on tu może być. Pokazać się czy nie? Jej reakcja może być nieobliczalna. Popęłnił błąd, włączając automatyczne dojarki. Uciszenie krów wzbudziło jej podejrzenie.

- Hej, panie! Ja nie żartuję! - krzyknęła znowu Wren zmienionym głosem.

Ten głos zaniepokoił mężczyznę. Był specjalnie szkolony do rozpoznawania głosowych niuansów. Kobieta jest coraz bardziej zaniepokojona i rozstrojona. Może rzeczywiście zacząć strzelać. Uchylił drzwi, dłonie położył na głowie i wyszedł na schody. Zszedł kilka stopni, zatrzymał się i powiedział:

- Proszę nie strzelać. Ja nie mam żadnych złych zamiarów.. . Przepraszam za to najście, ale było mi okropnie zimno. Wieczór jest straszny, a ja...

- Niech pan zejdzie na dół - warknęła Wren, nieco pewniejsza siebie.

Posłuchał, ale nie dlatego, że się bał. Po prostu widział

SAMOTNI KOCHANKOWIE

17

jej nieporadność w obchodzeniu się z bronią. Lepiej ułagodzić kobietę.

- .. szukałem suchego miejsca i...

- Pan podłączył dojarki? Skinął głową.

- Po co?

- Krowy okropnie się wydzierały.

- Gdzie się pan nauczył obsługiwania automatycznych dojarek?

- Mój dziadek miał mleczną farmę na północy stanu Wisconsin. Spędzałem tam zawsze wakacje.

Dla mnie to żadna sprawa.

- Mam problem z panem, drogi panie. I mam broń... Mężczyzna lekko się uśmiechnął.

- Aja, panienko, mam pod pachą magnum trzydziestkę piątkę. Gdybym chciał zrobić panience krzywdę, to już bym dawno zrobił.

Po co on gada jej te głupoty? Był na siebie wściekły. Zawsze trzymają się go żarty.

- To niech pan szybko rzuci broń na ziemię! - poleciała, błędąc. - I to zaraz, bo strzelam. - Postąpiła krok do przodu.

Podrapał się w głowę.

- I co? Tą pukawką tylko by mnie pani zraniła. Leżałbym na ziemi, krwawił i ryczał jak zarzynany prosiak. Miałaby pani kłopot. Trzeba by wzywać karetkę pogotowia. A w taką pogodę.

Wren była zaskoczona i skonfundowana. Takiej odpowiedzi zupełnie się nie spodziewała.

- Mam propozycję - ciągnął mężczyzna. - Ja położę

SAMOTNI KOCHANKOWIE

moje magnum na ziemi, a pani odłóż swoją broń. Pójdę nawet dalej. Zrobię to pierwszy. - Sięgnął pod kurtkę.

- Powoli! - krzyknęła. - Proszę wyjmować ją dwoma palcami.

Roześmiał się.

- Widzę, że ogląda pani filmy policyjne. Wyjmuję powoli. Za lufę... Jest! - Pokazał jej rewolwer, postąpił dwa kroki w kierunku karmnika i położył broń na pokrywie.

- Niech się pan nie zbliża! - ostrzegła Wren. - I ręce trzyma na głowie.

Mężczyzna posłuchał. .

- Ale teraz pani kolej. Proszę też odłożyć broń.

- Nie mam najmniejszego zamiaru.

- Zgodziła się pani na moją propozycję.

- Wcale nie. Nie powiedziałam ani słowa.

- Ale skinęła pani głową.

- Chciałam pana zmylić.

- Nie ufa pani ludziom?

- Zależy komu. Dlaczego miałabym ufać właśnie panu?

- Rzeczywiście nie ma powodu. Nie powinna pani ufać obcym.

- I pan to mówi? Niech pan sobie idzie. - Lufą broni wskazała drzwi. - Tu pan nie może zostać.

- Wyrzuci mnie pani w taką pogodę?

- Nie może pan tu zostać - powtórzyła.

- Dlaczego?

- Właśnie dlatego, że jest pan obcy. Nic o panu nie wiem.

- Rozumiem. Ale niech się pani zlituje, W taką pogodę

SAMOTNI KOCHANKOWIE

19

nawet psa się nie wyrzuca. Rano już mnie tu nie będzie. Wiem, że pani się boi, ale...

- Oczywiście, że się boję. Pan może być zbiegłym mordercą... - Nagle zamilkła.

Wren widziała, że mężczyzna lustruje ją od stóp do głów. Stała sztywno, wyprostowana. Przez głowę przemykały jej niespokojne myśli. Impas! Co, u diabła, robić?

Widział rozterkę kobiety i współczuł jej. Więcej: poczuł do niej przedziwną sympatię. Musi ją uspokoić, choćby swoim kosztem. Westchnął głęboko i powiedział:

- No cóż, wobec tego pójdę sobie. - Palcem wskazał na górę. - Niech mi pani tylko pozwoli zabrać moją torbę. Zostawiłem ją na stryszku. '

- Niech pan poczeka...! - Wren nagle się zdecydowała. - Może pan zostać. Ale tylko do rana. A ja zabiorę pańską broń.

Mężczyzna się zdziwił. Pomyślał sobie, że kobieta jest odważniejsza, niż początkowo myślał. I ma lepsze serce, niż sądził. Przez chwilę baczniej jej się przyglądał, a potem bąknął „dziękuję” i poszedł w kierunku schodów.

Stała bez ruchu, póki nieproszony gość nie wszedł na górę.

- Jest pan zupełnie przemoknięty - rzuciła za nim. Zatrzymał się, obrócił i wzruszył ramionami, a potem

przeciagnał dłonią po włosach. Na czarną kurtkę kapnęła strużka wody.

Wren oceniła, że intruz jest bardzo przystojny. I chyba nie jest żadnym zatwardziałym mordercą.

Bez wahania zgodził się pozostawić w jej rękach groźną broń. I ma dobrą twarz. Miło się uśmiecha.

A poza tym, poza tym...

SAMOTNI KOCHANKOWIE

Widać, że jest jakiś zagubiony, jakby miał bardzo poważny problem. Wyczuwała to instynktownie. Stał teraz na schodach i patrzył na nią ze ściągniętymi brwiami, wyraźnie zaskoczony. Kolejna obserwacja Wren dotyczyła ust mężczyzny: piękny wykrój. Ale koniuszki ust skierowane do dołu znamionowały gorycz. Nos też ładny, lekko garbaty, bardzo męski. Wyraz twarzy chyba lekko cyniczny... No i zarost! Ten człowiek od kilku dni się nie golił. To nadaje mu nieco dziki wygląd. A oczy? Przenikliwe, jakby chciały prześwietlić człowieka. Spojrzenie twarde, surowe, niemal bezwzględne...

Czy dobrze zrobiła, pozwalając mu zostać? Decyzja dla niej samej była niespodziewana. Instynktowna, prawdopodobnie spowodowana wyjątkowymi okolicznościami. Przecież to jest Boże Narodzenie!

- Zabieram pańską broń - powiedziała, chcąc przerwać te dość krępujące wzajemne oględziny. - Pójdę do domu i przyniosę panu ręcznik. Przyniosę też coś do jedzenia, bo pewno jest pan głodny.
- Serdecznie dziękuję - odparł głosem, który ostatecznie przekonał Wren, że postąpiła właściwie, okazując obcemu chrześcijańskie miłosierdzie.

Wzięła leżący na wieku zmywarki rewolwer i ruszyła do wyjścia, mając głęboką nadzieję, że się nie omyliła i że obcy nie wykorzysta tej okazji, by zbiec ze schodów i rzucić się na nią od tyłu. Wyszła w szalejącą ciągle zawieję. Wtuliła głowę w kołnierz i szybko przebiegła przez podwórze. Wpadła do domu, zatrzasnęła za sobą drzwi i zaryglowała je. Oparła się o ścianę i głęboko odetchnęła. Była zdziwiona

SAMOTNI KOCHANKOWIE

21

własną odwagą i tym, że pozwoliła obcemu pozostać na noc. No cóż. Wydał się jej zupełnie przyzwoity. Ale co tu robił w taką pogodę, wędrując przez zupełne pustkowie. I to tuż przed Gwiazdką, kiedy ludzie siadają sobie wygodnie w rodzinnym gronie i myślą o świątecznych przysmakach.

Może on jest w takiej samej sytuacji jak ja, pomyślała. Nie ma rodziny, nie ma nikogo bliskiego, jest sam na świecie. Tak, on chyba jest sam. Po chwili była tego zupełnie pewna.

Odłożyła na kuchenny stół swoją dwudziestkę dwójkę i magnum przybysza, zabrała się do roboty. Najpierw zapaliła gaz pod naczyniem" z potrawką, zaparzyła kawę, później poszła do pokoju i z szafy wyciągnęła dwa prześcieradła, poszewkę na poduszkę, koce i kilka ręczników. Zaniosiła to wszystko do kuchni i włożyła do czarnego foliowego worka na śmieci. Z szafki wyjęła dwa termosy. Do jednego wlała kawę, drugi, z szerokim otworem, napełniła gorącą potrawką. Przekroiła wzdłuż kilka ostygłych już bułeczek i posmarowała masłem, a następnie włożyła do torebki, a torebkę do większej torby z termosami. Obładowana tym okazałym bagażem ruszyła w kierunku obory. Kilka razy niemal upadła, trafiając na oślizłą glinę pokrytą śniegiem.

Drzwi do obory otworzyły się same na jej powitanie. Ujrzała w nich barczystą sylwetkę. Mężczyzna natychmiast odebrał od niej pakunki.

- Oo, kawa! - powiedział. - Co za niebiański aromat! I coś jeszcze wspaniale pachnie.

Wren zauważyła, że w czasie jej nieobecności wyłączył

SAMOTNI KOCHANKOWIE

automatyczne dojenie i uwolnił krowie wymiona. Zdjął także czarną skórzaną kurtkę i był teraz w grubym czarnym golfie.

Obydwie torby postawił przy schodach. Wren podeszła do nich, wyjęła ręcznik i podała mu go.

Natychmiast zaczął wycierać sobie włosy.

- Zastanawiałem się, czy pani wróci - powiedział, energicznie osuszając głowę.

- Dlaczego miałabym nie wracać?

- Z lęku przed kimś obcym. Kto wie, czy nie kimś bardzo groźnym... - Uśmiechnął się lekko. -

Mogła pani zabarykadować się w domu i zadzwonić na policję.

- Obiecałam dać panu coś do jedzenia - odparła.

- W dzisiejszych czasach niewielu ludzi dotrzymuje obietnic. Cieszę się, że pani należy do tej mniejszości.

Mężczyzna wpatrywał się w nią tak przenikliwie, że Wren zrobiło się nagle gorąco.

- Sama zajmuje się pani krowami? - spytał.

- Mój... mój mąż wkrótce wróci - skłamała zaniepokojona.

Aby ukryć zmieszanie, zaczęła szperać w torbie, z której wyciągnęła owiniętą w serwetkę łyżkę i podała mu ją.

- Nie musi pani się mnie bać i kłamać - odparł cicho. - Ja wiem, że pani mieszka sama.

- Nic pan nie wie. Niby dlaczego miałabym kłamać?!

- Bo pani mnie się boi.

- Wcale nie... - broniła się słabo.

- Nie przyszedłem tu, żeby uczynić pani krzywdę...

- A po co się pan u mnie zjawił? - Ciekawość wzięła górę.

SAMOTNI KOCHANKOWIE

23

- Byłem przemarznięty i głodny, potrzebowałem ciepłego kąta na kilka godzin. Mam pieniądze i mogę zapłacić za pani gościnność. Z tego, co tu widzę, nie przelewa się pani...

- Nie musi pan za nic płacić.

- Nie chcę, żeby pani pomyślała, że jestem żebrakiem czy naciągaczem.

- Nie sędzę, aby pan był jednym czy drugim.

- A niby dlaczego nie? Przecież są naciągacze, którzy...

- Pan jest zupełnie inny. Właściwie, dlaczego pan się włóczy po okolicy w taką pogodę i to przed samymi świętami? Zastanawiam się i nic mi nie przychodzi do głowy.

- To długa historia...

- Zepsuł się panu samochód i zostawił go pan gdzieś na drodze?

- Samochód zepsuł mi się w Arizonie. Tam go zostawiłem. Od Arizony wędruję pieszo.

Wyciągnął z kieszeni pomietą dwudziestodolarówkę i rzucił na stół.

- Niech pan zatrzyma swoje pieniądze! - oświadczyła stanowczo.

- Jest pani pewna, że pani nie chce...?

- Jestem pewna. Proszę to zabrać.

Wzruszył ramionami, schował dwudziestodolarówkę i zabrał się do jedzenia.

Wren przyglądała się, jak jadł w milczeniu, a kiedy skończył, spojrzał na nią uważnie. Fizycznie odczuwała jego obecność. Aż nadto było wyraźne, że ten człowiek z jakiegoś powodu głęboko cierpi. Krył w sobie jakąś po-

SAMOTNI KOCHANKOWIE

nurą tajemnicę, gnębiło go .jakieś bolesne przeżycie... Znajomi często podkpiwali sobie, że Wren ma przedziwną intuicję, która pozwala jej dostrzegać w ludziach to, czego inni nie widzą.

Kiedy mężczyzna podniósł głowę i padło na niego ostre światło gołej żarówki, Wren zauważyła, że za prawym uchem ma okropną bliznę. Nie była ona ani zbyt stara, ani nadto świeża. Mógł to być rezultat oparzenia, przypalenia bądź rozcięcia jakimś ostrym narzędziem. Tak, ten mężczyzna musiał bardzo cierpieć. Współczuła mu, gdyż sama wiele doświadczyła.

Nie wyzbyła się jeszcze obaw wobec obcego. Chciałaby znać odpowiedź na pytanie, czy oprócz cierpienia fizycznych mężczyzna przeżywa cierpienia... Jak je nazwać? Psychiczne? Mentalne? Może jest umysłowo niezrównoważony, tylko chwilowo skrzętnie to ukrywa?

Ona też cierpiała psychicznie. Mimo ciągłego niebezpieczeństwa czuła wzrastającą sympatię do tego mężczyzny. Jakby ją z nim coś łączyło. Podobne przeżycia, podobne doznania, podobnie ciemista droga życiowa.

- Ja jestem Wren Matthews - przedstawiła się. - A pan jak się nazywa?

- Keegan Winslow - odparł po długim milczeniu. On zastanawia się, czy i co odpowiedzieć, pomyślała.

Mówi prawdę, czy wymyślił nazwisko? Splotła dłonie na kolanie i patrząc wymownie na bliznę na szyi, spytała:

- Co się panu przydarzyło?

- Nie chcę wdawać się w szczegóły mego prywatnego życia - odparł sucho. - Wolę w ogóle nie mówić nic na ten temat.

SAMOTNI KOCHANKOWIE

25

Wren poczuła się bardzo głupio. Powinna się bać tego człowieka, a tymczasem on wzbudzał w niej litość. Po prostu litość i współczucie. Tak, Keegan Winslow był człowiekiem potrzebującym wyrozumiałości i pomocy.

Ku jej zdziwieniu cisza, jaka między nimi zapadła, nie była ani ciężka, ani kłopotliwa. Wren gotowa była nazwać ją wręcz przyjemną ciszą. Jej poprzednie lęki, wyparowały. Te milczące sekundy, a kto wie czy nie minuty, wykorzystywała, żeby mu się przyjrzeć. Dłonie spierzchnięte. No tak, przy tej pogodzie bez rękawiczek! Kilka połamanych paznokci. Czyżby się przez coś przedzierał? Teraz twarz: skóra z gatunku suchych, promieniste zmarszczki w kącikach oczu. Wyraz oczu? Zmęczone spojrzenie zaszczutego zwierzęcia. A może to echo jakiegoś tragicznego przeżycia, które skłoniło go do porzucenia dotychczasowego życia i ukrycia się na bezludziu.

Jej empatia wyraźnie wzrastała. Ileż wspólnego mają oboje! Oczywiście pod warunkiem, że jej wnioski są słuszne. Była niemal pewna, że dobrze rozumie tego człowieka. Przecież ona też porzuciła wartki nurt miejskiego życia. Nie miała nikogo bliskiego, z kim mogłaby spędzić ten świąteczny okres, podobnie jak on.

Cisza się przedłużała, aż wreszcie zakłóciły ją odległe grzmoty. Wren zadygotała, a gdy spojrzała na swoje dłonie, stwierdziła ze zdumieniem, że drżą jakby porażone jakąś chorobą. Wzięła głęboki oddech, bo niespodziewanie powróciły obawy i poczuła ogromny lęk.

Mężczyzna uśmiechał się.

- Nie zabrała pani swojej pukawki - powiedział.
- Mam w kieszeni pańskie magnum.

SAMOTNI KOCHANKOWIE

- Jeszcze się pani boi?

- Każdy by się bał.

- Wcale mądra z pani dziewczyna. - Wyciągnął rękę i koniuszkami palców dotknął lekko jej ramienia.

Wren poczuła nagle wielką słabość, świat wokół niej zawirował. Spowodował to nie tylko dotyk, ale i uważne spojrzenie mężczyzny. Niemal przebijał ją wzrokiem. Było to podobne do uczucia, jakiego doznała, kiedy jako dziecko spadła z huśtawki i prawie straciła przytomność.

- Czy pani źle się czuje? - spytał Keegan Winslow. Nie była w stanie wydusić z siebie słowa, skinęła tylko

głową. Odsunęła się parę kroków w nadziei, że odległość pomoże jej oprzytomnieć. Miała zaciśnięte gardło, a puls... Lepiej nie mówić. No i te oblewające ją fale żaru! Jedna po drugiej. Nigdy w życiu czegoś podobnego nie doświadczyła. Magia? Czy ten człowiek ma nadprzyrodzone cechy? Przecież to jest tylko ktoś, kto po prostu przed czymś lub przed kimś ucieka.

Przypomniała sobie stary serial telewizyjny „Uciekinier”. Keegan, podobnie jak bohater owego serialu, desperacko szuka kryjówki.

Znowu zapadła między nimi cisza. Zakłócał ją tylko chrzęst paszy spożywanej przez krowy. Słysząc też było odgłosy mokrych grudek śniegu, które uderzały w dach.

- Pani musi czuć się bardzo samotna - przerwał milczenie Keegan.

- Cenię sobie spokój.

- Mimo wszystko... Samotna kobieta na tym bezludziu. Mam nadzieję, że potrafi pani obsługiwać i jest gotowa użyć w razie potrzeby tej swojej dwudziestki dwójki.

SAMOTNI KOCHANKOWIE

27

Spojrzenia obojga spotkały się.

- Nie wahałabym się - odparła. - Jeśli pan niczego więcej nie potrzebuje, panie Winslow, to wróć do siebie.

- Niczego więcej nie potrzebuję i dziękuję za posiłek, pani Matthews.

Zmarszczyła brwi.

- Spodziewam się, że rano pana już tu nie zastanę...

- Z pewnością nie będę nadużywał pani gościnności. Proszę się nie martwić, wyruszę skoro świt.

Wren odetchnęła. Włożyła rękawiczki i ruszyła ku wyjściu.

- Jeszcze jedno...! - usłyszała za sobą. Zatrzymała się w pół kroku i odwróciła. Jego twarz była niezwykle poważna. Wyglądał jak policjant, który z troską spogląda na ofiarę przestępstwa. Dziwne. Skąd przyszedł jej do głowy policjant?

- Słucham pana? - zapytała nieco zniecierpliwionym tonem.

- Niech pani mnie posłucha: niech pani zawsze śpi z bronią pod poduszką i niech pani nikomu nie ufa.

Zbladła. Stała przez chwilę w milczeniu, po czym bez słowa wyszła z obory.

Nie powinienem był tu przychodzić, pomyślał Keegan.

Zjadł ostatni kęs drugiej bułeczki z orzechowym nadzieniem i popił łykiem już tylko letniej kawy.

Odstawił kubek i zatarł dłonie. Był to chyba najlepszy posiłek ostatnich dni, ba - ostatnich miesięcy... Przypomniawszy mu domową kuchnię. Domu, który stracił na zawsze.

Dom. Wolałby o nim nie myśleć, ale pamięć podsuwała

SAMOTNI KOCHANKOWIE

mu dawne obrazy. Zmusił się do wspomnienia i przeanalizowania ostatnich godzin. Nerwowy uśmiech Wren Matthews. Aromat potrawy. Ciepło emanujące z tej kobiety... Psiakrew, przecież to właśnie przypomina mu jego dawny świat!

Domek z czerwonej cegły na przedmieściu Chicago. W garażu dwa nowe samochody. Zawsze nowe! Wakacje co roku. Buzujący w kominku ogień w święta Bożego Narodzenia. Na lodówce w kuchni rysunek na karteczkach trzymany przez magnesy. Zimowa sanna...

Wszystko to już nie istnieje. Przepadło, przeciekło przez palce, uleciało niby dymek...

Czasami wydawało mu się, że to był tylko sen. Ze tamten świat nigdy nie istniał. Teraźniejszość, z towarzyszącym jej głodem, bólem i wyczerpaniem wydawała się czymś bardziej rzeczywistym niż tamten krótki okres szczęścia.

Dzieciństwo przygotowało go na cierpienie. Często mówiono mu, że życie jest twarde i okrutne, więc on musi być jeszcze twardszy i okrutniejszy. Święcie w to wierzył. Do pewnego czasu. Do czasu, kiedy pojawiły się Maggie, a potem Kate. Przez bardzo krótki czas żył w błogostanie, w świecie wspaniałych możliwości. Aż nagle, w mgnieniu oka, wszystko, co kochał, zostało zniszczone.

Przez ostatnie półtora roku cierpiał. Powoli cierpienie go zżerało, bezpowrotnie niszczyło...

Nie powinien był zaglądać na tę farmę. Ale był zziębnięty, przemoczony i głodny. Farma okazała się cudowną przystanią, a Wren Matthews balsamem dla znużonego wędrowca.

SAMOTNI KOCHANKOWIE

29

Balsamem, tak balsamem! I to wcale nie dlatego, że była piękna. Daleko jej do miana urodziwej. Rysy miała dość pospolite, ale było w niej coś, co chyba najlepiej określa słowo determinacja. I nie tylko to. Była jakby z innego świata. Nierzeczywistego i lepszego.

Pozwoliła mu odprężyć się w chwili, kiedy tego tak bardzo potrzebował.

I przypominała mu Maggie.

Właśnie dlatego źle się stało, że tu trafił.

Wątpił, by w swoim świecie Wren Matthews kiedykolwiek miała okazję spotkać człowieka takiego jak on.

Z początku nawet nie zauważył, że ona utyka. Zbyt pogrążony był we własnej niedoli. Jej kuśtykanie to pewnie pozostałość po jakimś dawnym wydarzeniu. Był bardzo ciekawy, co to było. Co mogło jej się przytrafić?

Zaczął rozmyślać nad samotnym życiem Wren Matthews. Właściwie dlaczego ona go tak interesuje? Przesunął językiem po spierzchniętych wargach. Tak, ona go interesuje. Dawniej ani przez chwilę nie zastanawiałby się nad losem samotnej kobiety prowadzącej mleczną farmę. Ale teraz sam był samotny i miał wiele czasu na rozmyślanie.

Do tego też wiedział teraz, że z tym, co robi Wren, łączy się ryzyko. Wyznawał dobre staroświeckie zasady, a przede wszystkim tę, że kobieta zawsze powinna mieć wsparcie mężczyzny.

Zdawał sobie sprawę, że jego pożegnalne ostrzeżenie musiało przerazić kobietę. Ale mówiąc to, miał na celu tylko jej dobro. Zapewne ona uważa go teraz za niebezpiecznego kryminalistę, który chwilowo z jakichś powo-

SAMOTNI KOCHANKOWIE

dów ulitował się nad upatrzoną ofiarą. Prawdę powiedziawszy, bardzo się dziwił, że pozwoliła mu zostać na noc w oborze. I że zaopatrzyła go w pościel, przyniosła kolację i ręczniki, widząc, jak jest przemoczony. To dobra kobieta. Niech sobie będzie. Jutro o niej zapomni. A ona tylko skorzysta na jego pobycie, bo na przyszłość będzie ostrożniejsza. Takiej przestrogi, jaką jej dał, szybko się nie zapomina.

Wyciągnął się na pryczy, otulił kocem i żeby szybciej zasnąć, usiłował nie myśleć. Patrzył tępo na ścianę i wsłuchiwał się w wycie wiatru..

Jednak nie mógł się pozbyć natrętnych myśli. Przyszedł mu do głowy pomysł, żeby wreszcie skończyć z tą nieustanną pogonią, węszeniem i znowu osiąść gdzieś na stałe. Poszukać sobie miejsca na świecie w jakichś kochających ramionach.

- O nie! - wykrzyknął na głos.

Stracił, co miał w życiu najcenniejszego i po raz wtóry nie będzie ryzykował utraty wszystkiego, co mógłby wokół siebie zgromadzić. Lepiej spędzić życie samotnie, niż po raz drugi konać bez końca. Łzy same napłynęły mu do oczu. Zacisnął powieki i potarł je pięściami.

ROZDZIAŁ TRZECI

Burza trwała przez całą noc.

Wren źle spała. Często się budziła, by znowu zapaść w niespokojne zamroczenie. Rano obudziła ją seria grzmotów i błyskawic. Miała mokrą od potu koszulę. Serce biło jej niespokojnie. Po głowie kołatały się resztki przykrego snu, w którym uciekała przed nieznanym napastnikiem. Usiadła na łóżku, rozglądając się za bronią. W podświadomości wyłoniła się twarz Keegana Winslo-wa.

Półprzytomna wykrzyczała jego nazwisko, prosząc

O pomoc i ratunek. Wreszcie otrząsnęła się z tych półsennych majaków i już na trzeźwo doszła do wniosku, że właściwie nie wie, czy jest on dobrym i nieszczęśliwym człowiekiem, czy też stanowi zagrożenie.

Odrzuciła koce i wstała. Odsunęła z czoła lepkie od potu kosmyki. Zapaliła światło i zataczając się, podeszła do krzesła po wiszący tam szlafrok. Po drodze omal nie przewróciła mizernej sztucznej choinki, którą poprzedniego dnia bez większego przekonania wyciągnęła z komórki i ubrała od lat przechowywanymi bombkami oraz kilkoma kokardami ze wstążek. Sama nie wiedziała, po co jej właściwie choinka. No cóż, nawet taka choinka, choć bez prezentów ułożonych pod nią, stanowi namiastkę nastroju zagłuszającego nieco samotność. Dygotała z zimna, więc

SAMOTNI KOCHANKOWIE

czym prędzej włączyła elektryczny grzejnik, po czym poszła do kuchni. Myślami wróciła do nieproszonego gościa w pokoiku nad oborą.

Włożyła grube skarpety i dopiero wtedy zabrała się do parzenia kawy. Jedną z upieczonych poprzedniego dnia bułeczek włożyła na kilka sekund do kuchenki mikrofalowej. Czekaając na kawę, włączyła radio. Spiker emocjonował się wydarzeniami na giełdzie...

Spojrzała na zegarek. Piąta rano. Czas na dojenie.

Miałaby iść do obory, gdzie na pewno zastanie jeszcze Keegana Winslowa? Może poczekać ze dwie godziny. Wtedy już go nie będzie. Ale krowy, niezadowolone, zaczną zaraz ryczeć. Trudno, nie spotka już tajemniczego nieznajomego.

Sumienie podpowiedziało jej, że właściwie powinna go poczęstować śniadaniem.

Może i powinna, ale to by znaczyło, że znowu będzie musiała spojrzeć w te pełne smutku i bólu oczy, w których widzi własne odbicie. Nie, nie ma na to siły. Nie, nie musi karmić Keegana Winslowa.

„Wszyscy powinni być braćmi i siostrami” - przypomniały się jej słowa pastora miejscowej parafii. Podeszła do kuchennych drzwi wiodących na tyły domu i uchyliła je. Mimo wąskiej szpary natychmiast wdarło się do domu ostre, zimne powietrze. Zapaliła lampę przed wejściem i w jej świetle obserwowała szarą sylwetkę obory. W oknie pokoiku na górcie nie paliło się. Czyżby Winslow jeszcze spał? Wren zatrzasnęła drzwi. Dygotała z zimna. Musi rozpalić kominek, potem zje śniadanie, a po śniadaniu weźmie gorącą kąpiel.

SAMOTNI KOCHANKOWIE

33

Rozkroiła jeszcze ciepłą bułeczkę z orzechowym nadzieniem i posmarowała masłem, nalała też kubek kawy, którą osłodziła dwiema łyżeczkami miodu. Usiadła za stołem. Decyzję o wydojeniu krów, teraz czy potem, odłożyła na chwilę, kiedy zaspokoi głód.

Po kilku łykach kawy zaczęła mieć wyrzuty sumienia.

Ona siedzi sobie w ciepłej kuchni i pije gorącą kawę, a Keegan Winslow pewno dygoce z zimna w pokoiku nad oborą.

Westchnęła. Między innymi dlatego właśnie wolą być sama. Obecność ludzi komplikuje życie.

Dlaczego ma się martwić o obcych? Czyż nie ma własnych kłopotów?

Niemniej wstydziła się swojej postawy. Z drugiej jednak strony myśl o zaproszeniu tego ponurego mężczyzny do stołu w jej domu była wprost śmieszna. I warto się może zastanowić, kim może być włóczęga przemierzający okolicę w okresie świątecznym. Dopiero co zwolnionym więźniem?

Uciekinierem poszukiwanym przez wymiar sprawiedliwości? Ten Keegan Winslow wyraźnie od czegoś ucieka. Pytanie, czy dobrowolnie, czy też zmuszony do tego, gdyż pogwałcił prawa ustanowione przez społeczeństwo?

- Kimkolwiek on jest czy nie jest, to nie twoja sprawa - mruknęła do siebie.

Mimo tego buńczucznego oświadczenia coś ją ciągnęło do obory i jej chwilowego gościa.

Ciekawość walczyła teraz z jej niechęcią do kontaktów z ludźmi, a zwłaszcza z mężczyznami.

Wren wstała i zamyślona rozpoczęła spacer po kuchni. Zawsze uważała, że potrafi myśleć racjonalnie, tym razem

SAMOTNI KOCHANKOWIE

jednak targał nią niepokój i- żadne racjonalne rozwiązanie problemu nie przychodziło jej do głowy. Jej dobroć nakazywała pomóc przybyszowi, ale podejrzliwość wobec gatunku ludzkiego skłamała do ostrożności. W przeszłości okazana dobroć drogo ją kosztowała, a podejrzliwość skazywała na samotne życie.

Ponownie podeszła do drzwi i lekko je uchyliła. Obora była mroczna i cicha, natomiast nad horyzontem pokazał się różowy odbłask.

2» chwilę krowy zaczęły się niepokoić nieobecnością dojarki i głośno muczeć. O, już zaczynają! Na pewno obudzi to śpiącego na górcie mężczyznę.

Poczekaj jeszcze trochę, mruknęła do siebie pod nosem. Idź i rozpal teraz w kominku, daj Winslowowi godzinę, żeby się wyniósł. Jeśli do szóstej trzydzieści nie opuści obory, to wtedy pójdziesz i powiesz mu, żeby się wynosił.

Przyszła jej do głowy straszna myśl: a jeśli on nie będzie chciał opuścić farmy?

Wren patrzyła na swoje odbicie w chromowanej obudowie tosterka. Wydała się sobie blada i ponura. Brak snu i problem z nieproszonym gościem dawały o sobie znać.

Nie ma już żadnego racjonalnego powodu, by nie iść i nie wyrzucić nieznajomego z obory. Bo to, że jest zimno i że za dwa dni będzie Boże Narodzenie, nie ma najmniejszego znaczenia.

Włożyła ocieplaną kurtkę i wdziała długie buty. Białe słońce walczyło z chmurami o wolne miejsce na niebie. Wren wyszła na dwór. Każdy jej oddech wzniecał kłęby białej pary. Zamarznięty śnieg trzeszczał pod butami.

SAMOTNI KOCHANKOWIE

35

Gdy weszła do obory, powitał ją chór niespokojnych krów przyzwyczajonych do codziennego ładu. Zamknęła za sobą drzwi i ruszyła wzdłuż kopców pachnących mlekiem, sianem i krowieńcem. Znała wszystkie zwierzęta po imieniu. Jedna z krów, Bossie, głośnym rykiem sygnalizowała niezadowolenie stada.

- Przepróż w moim imieniu wszystkie swoje koleżanki - powiedziała Wren i poskrobała Bossie po łbie. - Zasłużyłam na skarcenie.

Keegana Winslowa nigdzie nie było. Czyżby jeszcze spał? To chyba niemożliwe w tym harmidrze. Wren zabrała się do podłączania dojarek, od czasu do czasu zerkając w kierunku schodów. Gdy skończyła robotę, pokuśtykała do schodów i zaczęła nasłuchiwać. Nic. Zupelna cisza.

- Hej, jest pan tam?! - zawołała. Nie otrzymała żadnej odpowiedzi.

- Panie Winslow? Czyżby usłyszała jęk?

- Czy wszystko w porządku, panie Winslow? Odezwały się sprężyny łóżka. Dlaczego on jej nie odpowiada?

Co robić? Iść na górę i sprawdzić sytuację? Długo się wahała, zanim postawiła nogę na pierwszym stopniu.

Tym razem nie miała już wątpliwości. Jęk był głośniejszy. Weszła niechętnie na górę, otworzyła drzwi i zajrzała do izby. Przez małe okienko sączyło się słabe światło dnia. Keegan Winslow leżał na prycy zwinięty w kłębek, szczelnie owinięty kocami.

- Panie Winslow?! - Weszła do izby, podejrzewając, że to pułapka, że on udaje, chcąc ją zwabić.

SAMOTNI KOCHANKOWIE

Mężczyzna zajęczał, coś- wymamrotał i rzucił się na posłaniu, ale nie otworzył oczu. Wren zauważyła, że oddycha szybko, a jego oddech jest urywany.

Krok po kroku podchodziła bliżej, przeklinając się w duchu, że nie zabrała z sobą pistoletu. Gdy stanęła przy leżącym, zauważyła, że w zaciśniętej pięści trzyma prześcieradło i że pod kocami ma nadal na sobie czarne dżinsy i czarny sweter. Twarz miał oblaną potem, usta suche.

Uklękła przy pryczy i dotknęła ramienia mężczyzny.

- Panie Winslow, jest już rano. Czas, żeby pan sobie poszedł...

Keegan Winslow niespodziewanie otworzył oczy i spojrzał w pustą przestrzeń.

- Maggie! - wykrzyknął, poderwał się nagle i usiadł.

Wren, przestraszona, wstała i cofnęła się o kilka kroków. W tym momencie Winslowa jakby opuściły siły. Bezwładnie opadł na poduszkę i zamknął oczy.

Miała wrażenie, że serce bije jej kilkakrotnie szybciej niż zwykle. Strach, który przed chwilą odczuwała, zastąpił niepokój. Ten człowiek jest poważnie chory, pomyślała. Kto to jest ta Maggie? I co to za choroba tak nagle dotknęła mężczyznę pozornie zupełnie zdrowego jeszcze przed kilkoma godzinami...

- Panie Winslow! - wyszeptała. - Czy pan źle się czuje?

Nie odpowiedział, ale otworzył oczy i martwo patrzył w sufit.

Zawył wiatr i przez nieszczelne deski wdarła się do izby fala zimna. Wren zadygotała, wtuliła szyję w kołnierz i po raz drugi uklękła przy łóżku.

SAMOTNI KOCHANKOWIE

37

Powieki opadły na nieprzytomne oczy mężczyzny. Wydawało się, że zasnął albo zemdłał. Wren położyła dłoń na jego czole. Rozpalone! On musi mieć gorączkę.

- Keegan!

Otworzył oczy i spojrzał na nią półprzytomnie.

- Kim pani jest? - zapytał ochryplym szeptem.

- Nazywam się Wren Matthews, panie Winslow. Zabłądził pan wczoraj na moją farmę i spędził noc w izbie nad oborą.

Poruszył głową, jakby nie mógł nic zrozumieć z tego, co ona powiedziała, i patrzył na nią wzrokiem zbitego psa.

- Ma pan gorączkę. Chyba bardzo wysoką. Zaraz dam panu coś do picia. Czy nie jest panu zimno? W odpowiedzi mężczyzna zaszczekał zębami i jeszcze szczelniej otulił się kocami.

- Niech się pan nie rusza. Zaraz wrócę!

Wren zerwała się i szybko zbiegła po schodach, a potem pędem ruszyła przez oborę do drzwi na dwór. Potykając się, ślizgając i parokrotnie tracąc równowagę, dotarła do domu.

Przyszła jej do głowy myśl, że chyba trzeba zabrać Winslowa z obory i umieścić go w ciepłym pokoju. On naprawdę jest zbyt chory, by mógł przebywać w zimnej izbie, gdzie hula wiatr.

Dreńczyło ją to. Zdawała sobie sprawę, jakim ryzykiem jest przyjmowanie do domu obcego człowieka. Jest chory, to prawda, ale nadal może być niebezpieczny. Z drugiej strony przed chwilą wzywał na pomoc jakąś kobietę. Maggie! To w dużej mierze rozbroiło Wren. Właściwie od tej chwili przestała bać się Keegana Winslowa. Źli ludzie

SAMOTNI KOCHANKOWIE

w chwilach rozterki nie proszą o pomoc kobiet. Ten człowiek potrzebuje pomocy, a ona, Wren, zawsze była gotowa pomagać tym, którzy są naprawdę w potrzebie.

Do butelki naląła wody, z szafy w holu wyjęła ciężkie zimowe palto ojca i wróciła do obory.

Keegana zastała w tej samej pozycji, w jakiej go pozostawiła.

- Jestem! - obwieściła.

Odkręciła zakrętkę z butelki, podeszła do łóżka i uniosła nieco poduszkę ze spoczywającą na niej głową chorego. Przechyliła butelkę i jej szyjkę wsunęła mu między wargi.

- Niech pan pije! Keegan głucho jęknął.

- Niech pan otworzy usta i pije.

Posłuchał jej. Pił długo i łapczywie. Gdy miał już dość, cofnął głowę, wtulając ją w poduszkę.

- Dziękuję - wyszeptał.

To jedno zwykłe słowo wzruszyło ją bardziej, niż gdyby wygłosił płomienne przemówienie dziękczynne. Targały nią bardzo dziwne uczucia. Bardzo dziwne... Sama ich nie rozumiała.

- Musimy jakoś przejść do domu... - oświadczyła.

- Musimy? Do domu? A gdzie ja jestem teraz?

- W mojej oborze.

- Wydawało mi się, że czuję zapach krowieńca.

- Czy będzie pan mógł zejść ze schodów i przejść kilkadziesiąt metrów? - spytała.

- Oczywiście! Niby dlaczego nie?

- Wydaje mi się pan bardzo osłabiony.

- Niech mi pani tylko wskaże kierunek, w którym mam iść.

SAMOTNI KOCHANKOWIE

39

- Może zaczniemy od tego, że pan usiądzie i spuści nogi na podłogę.

- Świetny pomysł...

Czarne oczy chorobliwie błyszcząły i Wren pomyślała, że mężczyzna z pewnością nie zdaje sobie sprawy, z kim rozmawia i o czym mówi. Bredzi. Czy zabieranie go do domu miało w tej sytuacji sens? Nie była tego zupełnie pewna.

- Niech mi pani pomoże. - Wyciągnął ku niej obie ręce.

Miał gorące dłonie. Wren była coraz bardziej zaniepokojona. Tu potrzebny byłby lekarz. Keegan zamknął oczy. Ciężko oddychał.

- Jak pan się czuje?

- Kręci mi się w głowie.

- Spróbujmy wstać.

Dźwignęła go z wielkim trudem. Po co ja to robię, zadała sobie pytanie. Bo ten człowiek potrzebuje pomocy, odparła samej sobie. I może dlatego, że zbliżają się święta. I może jeszcze dlatego, że on zaczął ją po prostu fascynować. Jako osoba, która ma kłopoty. I jako mężczyzna...

Stał na drżących nogach. Wren sięgnęła po płaszcz ojca.

- Niech pan to włoży. Najpierw jeden rękaw... Posłusznie poddawał się poleceniom Wren, niby bezradny dwulatek ubierany przez matkę.

- Teraz buty!

I znowu posłusznie zrobił, co mu poleciła. Najpierw podniósł jedną stopę, potem drugą, a Wren wkładała je kolejno do podstawianych butów.

SAMOTNI KOCHANKOWIE

- No, to idziemy - oświadczyła.
- Spróbuję - odpowiedział niepewnie. Był okropnie blady i chwiał się na nogach.
- Czuję się jak drzewko targane wiatrem - zażartował.
- Proszę się wesprzeć na mnie.

Wren jedną ręką objęła go w pasie, mocno podtrzymując. Podczas tego pierwszego zbliżenia poczyniła obserwację, że mężczyzna nie cuchnie brudem, czego można by spodziewać się po włóczędze. Wprost przeciwnie: mimo że był spocony i w gorączce, biła od niego czysta fala gorąca o silnym aromacie dobrego mydła.

Kim jest Keegan Winslow? Nie pasował ani do profilu przestępcy, ani do typowego opisu bezdomnego. Jego skórzana kurtka, choć znoszona, była świetnego gatunku, podobnie jak obuwie. Niewiele z nim dotychczas rozmawiała, ale zdążyła zauważyć, że posługuje się słowami i zwrotami świadczącymi o tym, że jest człowiekiem wykształconym. Niestety, małe doświadczenie z mężczyznami nie pozwalało Wren ustalić ostatecznej opinii na temat człowieka, który wtargnął do jej obory, a teraz wkrada się w jej życie.

- Dokąd właściwie idziemy? - spytał.
- Do mojego domu. Ale najpierw zejdziemy po schodach.
- Po których schodach?
- Co to znaczy, po których?
- Tych po lewej czy tych drugich po prawej?

O Boże, on podwójnie widzi, jęknęła w duchu Wren.

- Po tych, którymi poprowadzę - burknęła.

Była wściekła, że z własnej głupoty i litości nad czło-

SAMOTNI KOCHANKOWIE

41

wiekem wplątała się w historię, która poważnie komplikuje jej uregulowane życie. Może jeszcze zrezygnować ze sprowadzania go na dół. Niech sobie leży nad oborą. Tak znowu zimno tu nie jest. Da mu coś do jedzenia. A on, gdy oprzytomnieje, może wreszcie sobie pójdzie. Nawet w chwili, gdy myśli te przebiegały jej przez głowę, wiedziała, że nie zostawi go w oborze.

Zaczęli powoli schodzić ze schodów. Bardzo powoli, bo mężczyzna nie był zdolny samodzielnie znaleźć oparcia na stopniu poniżej. Po kilku stopniach Keegan Winslow zatrzymał się, dysząc ciężko.

- Dalej nie mogę - wyjąkał.

- Świetnie panu idzie. Jesteśmy w połowie drogi... Nim zdołała dokończyć, mężczyzna zacharczał, nogi

się pod nim ugięły, wysliznął się z jej obejmującej go w pasie ręki i runął w dół schodów, padając na szczęście na rozrzucone siano.

- Panie Winslow, panie Winslow! Niech pan się odezwie!

Keegan Winslow zamrugał, widząc nad sobą niewyraźną twarz nieznanej kobiety. Czuł walenie pod czaszką, przed oczami miał dość mglisty obraz. Było mu też okropnie gorąco i denerwowało go, że ta kobieta o brązowych włosach skacze wokół niego niby kura wokół odnalezionego pisklęcia.

- Maggie? - zapytał, chociaż podejrzewał, że to nie jest Maggie. Bo niby skąd... Cudów nie ma...

- Jestem Wren. Wren Matthews. Maggie to pańska żona?

SAMOTNI KOCHANKOWIE

- Maggie nie żyje - odparł przytomnie.

- Pan krwawi - stwierdziła Wren.

Obmacał palcami tył głowy. Stwierdził, że włosy są lepkie i że lepkie ma palce. Próbował się podnieść, ale kobieta natychmiast uklękła obok i niemal przydusiła go do ziemi. Z kieszeni kurtki wyjęła białą chustkę i przyłożyła mu do skroni, a on wykrzywił usta w grymasie uśmiechu i pomyślał, że to strasznie staroświeckie nosić lnianą chustkę i to w dodatku w kieszeni kurtki.

- Niech pan się nie rusza! - ostrzegła.

- Dlaczego nie?

- Uderzył pan głową...

- W co? Kim pani jest? Co mi się stało?

- W posiadłość. Nie pamięta mnie pan? Jestem Wren Matthews. Do mnie należy mleczna farma, na którą przyszedł pan wczoraj nieproszony. Pozwoliłam panu zostać na noc w pomieszczeniu nad oborą.

- Nic nie pamiętam.

- Dziś rano obudził się pan chory. Z gorączką. Powiedział pan, że kręci się panu w głowie. Zaczęłam pana sprowadzać ze schodów, żeby zabrać do mojego domu. Nie mogłam zostawić pana w tym stanie w tej zimnej izbie. W połowie schodów pańskie nogi... odmówiły dalszego wysiłku. Spadł pan. Nie mogłam pana utrzymać. Jest pan ciężki, wyśliznął mi się pan...

Keegan Winslow podparł się łokciem i uniósł na boku, spoglądając w stronę schodów. Jeśli spadł z ich połowy, to znaczy, że zleciał co najmniej dwa i pół metra.

- I tak miał pan szczęście, że upadł pan częściowo na rozgrzebaną belę siana...

SAMOTNI KOCHANKOWIE

43

Wlepił wzrok w kobietę, której twarz wyłaniała się jakby z mgły. Wcale przystojna. I jeszcze dość młoda. A jej uroda jest... jest taka... taka klasyczna, niekrzykliwa. Nie lubił krzykliwych piękności.

- Co się pan tak na mnie gapi? - spytała.

- Ja? Nie, nic. Tak sobie myślałem... - Coś sobie przypomniał: ta kobieta chyba kuleje. Nie wiedział, skąd to wie, ale wiedział. - Czy pani też spadła, bo pani chyba utyka...?

- Nie, nie. To jest bardzo stary uraz z młodości. Co pan robi? Niech pan tego nie robi!

Usiadł, a następnie chciał wstać.

- Nie mogę tu przecież leżeć przez cały dzień... Dźwigał się powoli, podciągając na słupie działowym

najbliższego boksu. Zajmująca boks krowa przyglądała mu się beznamiętnie, nie przerywając żucia.

- Żeby tylko nie powtórzyło się to samo, co na schodach - ostrzegła Wren.

- Teraz będę miał bliżej do podłogi - odparł Keegan, stanąwszy na szeroko rozstawionych nogach.

- Skoro uparł się pan wstać, to idziemy do domu - oświadczyła Wren.

Keegan Winslow nie miał najmniejszego zamiaru protestować. Wprost marzył o ciepłym pomieszczeniu i ciepłym łóżku, a przed snem o ciepłym uśmiechu tej ładnej kobiety...

- Droga przez podwórze nie będzie łatwa. Jest okropnie ślisko. W oborze też jest ślisko, niech pan uważa. Proszę mnie wziąć pod rękę...

Uczynił to chętnie, ale natychmiast pożałował, bo do-

SAMOTNI KOCHANKOWIE

znał tak dziwnych uczuć, że ciężko mu było to miejsce opuścić. Miał nieprzepartą ochotę położyć kobiecie głowę na ramieniu. Miał także ochotę objąć ją i przytulić, by podziękować za jej dobroć i bliskość... Chyba zwariowałem, pomyślał. To musi być ta gorączka, ja majaczą. Nie ma żadnej kobiety, jestem sam... Może i jest kobieta, i prowadzi mnie, ale wszystko pozostałe jest majaczeniem...

Szedł ze spuszczonego wzrokiem, mając nadzieję, że wędrówka nie będzie długa, gdyż każdy krok wydawał się trudniejszy od poprzedniego..Kilka razy pośliznął się, ale Wren udało się go podtrzymać. Na szczęście nogi pod nim nie ugięły się tak jak na schodach.

- Już niedaleko do drzwi na dwór - pocieszyła go Wren, gdy przeszli kilkanaście kroków.

W opanowanym przez gorączkę umyśle Keegana pojawiła się zupełnie nowa myśl: umarłem, idę do nieba, a ponieważ wszyscy święci uznali, że dość się wycierpiałem w samotności, przydzielono mi osobistego anioła stróża.

Wren nie mogła się sobie nadziwić. Przed dwiema godzinami jej głównym celem było jak najszybsze pozbycie się mężczyzny, a teraz modliła się o to, by bez większych komplikacji dotaszczyć go do domu. Dlaczego? Bo... bo... Bała się przyznać do tego, że on jej się podoba. Ale przecież... Tak, nie było najmniejszej nadziei, by taki mężczyzna zainteresował się kaleką kobietą. A nawet gdyby nie była kaleką, też nie miałyby najmniejszych szans. Zawsze jej czegoś brakowało. Blaine Thomas jej to uświadomił.

Prowadząc Keegana, zerkała z ukosa na jego prawie

SAMOTNI KOCHANKOWIE

45

zupełnie otepiała twarz. Na szczęście krew we włosach zasychała, a więc rana już nie krwawi. Ale spostrzegła, że Keegan ma rozdartą prawą nogawkę dzinsów na wysokości kolana, które też krwawiło. To wszystko, a także wysoka gorączka nakazywały wezwać lekarza.

Podzieliła się nawet tą myślą z Keeganem, ale on zaczął protestować, twierdząc, że nic mu nie jest i że gotów jest nawet zatańczyć. To oświadczenie uznała za dodatkowy argument przemawiający za wezwaniem lekarza.

Wreszcie wyszli z obory i po śliskiej warstwie zlodowaciałego śniegu rozpoczęli wędrówkę do budynku mieszkalnego.

Keegan wskazał palcem na komin, z którego unosiły się kłęby szarego dymu, i powiedział jedno słowo „dym” tonem sugerującym wiekopomne odkrycie.

Podwórko przebyli szybciej niż przedtem oborę od schodów do drzwi. Keegan jakby się rozochocił. Gdy weszli do kuchni, Wren odstąpiła o krok, a on chwycił się oparcia krzesła.

Przez długą chwilę patrzyli na siebie w milczeniu, jakby zdumieni nową sytuacją.

- Dziękuję - wymamrotał wreszcie Keegan.

- Witam w moim domu - odparła Wren.

- Czuję się okropnie głupio - zareplikował dość przytomnie.

- Niepotrzebnie. Mamy jeszcze kilka kroków do sypialni. - Ujęła go za ramię i poprowadziła korytarzem do pokoju, który był niegdyś sypialnią jej rodziców. Odrzuciła koce i poprawiła poduszkę. - Niech pan się od razu położy.

SAMOTNI KOCHANKOWIE

Obróciła się, myśląc, że Keegan stoi tuż za nią. Tymczasem on osunął się na podłogę pod ścianą i ciężko dyszał. Na czole perlił mu się pot.

- O mój Boże! - wykrzyknęła, podbiegła do mężczyzny i zaczęła go dźwigać.

- Jazda, jazda! Do łóżka tylko dwa kroki.

Z wielkim wysiłkiem, postępując, Keegan wstał, postąpił kilka małych kroków i runął na posłanie.

Wren przypomniała sobie wszystkie filmy, w których widziała pielęgniarzki kładące do łóżek

pacjentów, i zabrała się do roboty. Bez specjalnych komplikacji zdjęła mu buty i rozpięła pasek

spodni. Żeby mieć więcej czasu na zastanowienie się, czy powinna ściągnąć mu spodnie, zaczęła zmagać się z czarnym golfem, a po jego ściągnięciu rozpięła koszulę. No i co zrobić ze spodniami?

Była czerwona jak piwonia nie ze zmęczenia, ale z zakłopotania. No cóż, nie można tak zostawić półprzytomnego i coraz bardziej pojękującego mężczyzny. Ze wstydliwie odwróconą głową, ciągnąc z całych sił, zdołała wreszcie zrobić to, czego nie spodziewała się robić nigdy w życiu. Chciała go z kolei wyswobodzić z rozpiętej koszuli, ale Keegan dzikim krzykiem zażądał, by ją zostawiła tak jak jest. Widziała, że mężczyzna chwilami przytomnieje, porzucając na pewien czas świat majaków.

Teraz też patrzył na nią bystro i jakby karcąco, gdy stała zapatrzona w jego bliznę na szyi. Już wiedziała, że blizna sięga przez obojczyk na plecy. Ponieważ leżał na boku, chciała unieść koszulę i zobaczyć, dokąd sięga blizna.

- Nie! - krzyknął rozziewającym głosem.

- Przepraszam - odparła. - Ma pan rację, nie mam prawa nawet zerknąć w pańskie życie.

SAMOTNI KOCHANKOWIE

47

Wyszła z sypialni, zamykając cicho drzwi. Nie miała siły postąpić ani kroku dalej. Oparła się o ścianę, walcząc z niesfornymi myślami i uczuciami, które ją nawiedziły.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Wren w drodze do obory, dokąd szła raz jeszcze, aby wyłączyć automatyczne dojarki, chyba po raz tysięczny zadawała sobie pytanie, kim jest ten coraz bardziej ją interesujący mężczyzna, z blizną jakby po uderzeniu rozgrzanym do czerwoności prętem i wzywający w malignie jakiejś Maggie. Otwarcie przyznawała się wobec siebie, że Keegan Winslow ją fascynuje. W jego obecności szybciej bije jej serce i krew uderza do głowy. Chyba zauroczenie. To okropne i zarazem cudowne uczucie.

Ale kim on jest?

Jeśli człowiekiem uciekającym przed wymiarem sprawiedliwości, to dawanie mu schronienia stanowi wielkie ryzyko. Jeśli jednak jest tylko uciekinierem przed tragedią własnej przeszłości, jeśli jest ofiarą tragicznych wspomnień, to powinna mu pomóc. Ale nie wolno jej dopuścić do zbliżenia. Jakże często niemądre kobiety myślą, że kojącą dłonią odmienią mężczyznę. Wren wiedziała, że na nic się to nie zda. Zmiana w mężczyźnie musi dokonać się w nim samym. Musi być zależna od jego woli, decyzji, pragnienia. Nigdy nie stanie się rezultatem kobiecych umizgów i pieszczot. Keegan Winslow musi mieć jakiś konkretny powód swojego wędrowania. Coś go do tego skłania, coś zmusza.

SAMOTNI KOCHANKOWIE

49

Coś albo ktoś. Wiele by jej to wyjaśniło, gdyby wiedziała. Czuła jednak, że nie powinna się starać tego dowiedzieć. Ale chciała wiedzieć, ponieważ zależało jej, by Keegan Winslow był kimś więcej, niż wyrzutkiem społeczeństwa wędrującym nie wiadomo po co i dokąd. Nie chciała, by okazał się brudną pianą morskiej fali.

Dlaczego tego nie chciała? Po co jej on? Nie potrzebowała go, nie potrzebowała mężczyzny.

Owszem, czasami czuła się samotna, ale kto nie bywa samotny! Boże drogi! Co za myśli przychodzą jej do głowy? Erotyczne fantazjowanie na temat jakiegoś włóczęgi!

Odstawiła szufłę, którą zbierała nawóz. Robota ją zmęczyła. W chorej nodze poczuła rwący ból.

Tak, nie był jej potrzebny mężczyzna jako taki, ale przydałby się do pomocy na farmie.

A gdyby mu tak zaproponować? Ach nie, to idiotyczny pomysł.

Bossie machnęła ogonem, a przy okazji trzepnęła nim w kurtkę Wren. Wren pieszczotliwie poklepała krowę po zadzie.

- Jeszcze jesteś na mnie zła, stara, że cię wczoraj nie wydołam o właściwej porze? - spytała.

W odpowiedzi Bossie głośno zamuczała.

- Nastąpiły nieprzewidziane wydarzenia - tłumaczyła ni to krowie, ni to samej sobie.

Bossie lekceważąco prychnęła, Wren roześmiała się i nagle poczuła przedziwną lekkość. Powróciła też do poprzedniej myśli: czy ofiarować Keeganowi pracę?

Nie, to byłoby niemądre. Po pierwsze, nic o tym człowieku nie wiedziała. To, co wiedziała i co wywnioskowała

SAMOTNI KOCHANKOWIE

z jego zachowania, mogło być dalekie od prawdy. Mężczyźni często dla własnych celów kłamią. Kobiety są bardziej prawdomówne. Blaine Thomas i kilku innych mężczyzn, których znała, wręcz lubowali się w kłamstwie. Blaine Thomas... Minęło już dziesięć lat, a jej było wstyd tak, jakby to wydarzyło się wczoraj...

Któregoś gorącego popołudnia Blaine Thomas przyjechał nowym czerwonym mustangiem. Wren pielila wtedy w ogrodzie. Gdy go zobaczyła, miała ochotę skryć się w pobliskim polu kukurydzy. Ale Blaine z daleka ją dostrzegł i zawołał:

- Nazywam się Blaine Thomas. Cześć! Jak idzie robota? - Uśmiechał się przy tym czarująco.

Blaine mówił szybko, kwieciście, przekonująco, podkreślając słowa gestami. Stała jak wryta, zaskoczona, zachwycona, niepomna, że twarz ma ubrudzoną rozmazany w pocie kurzem, a na głowie przekrzywiony słomkowy kapelusz.

Nie było co do tego dwóch zdań: Blaine był wspaniałym okazem mężczyzny. Gęste blond włosy i atletyczna sylwetka.

- W czym... mogę panu pomóc? - wyjąkała wreszcie.

Wpatrywał się w nią spojrzeniem, które parzyło i wywoływało rumieniec na policzkach. W pierwszej chwili Wren pomyślała, że doznaje po prostu porażenia słonecznego.

- A tak, bardzo mi pani może pomóc! - Blaine kilkoma susami pokonał odległość od samochodu do Wren i wyciągnął rękę.

Wren była niedoświadczona towarzysko i nie wiedzia-

SAMOTNI KOCHANKOWIE

51

ła, iż oferowaną jej dłoń, mimo zakłopotania, należy przyjąć. Nie speszony tym Blaine położył dłoń na ramieniu dziewczyny.

- Powiedziano mi, że jest pani osobą, na której można polegać... Nie miałem pojęcia, że jest pani ponadto taka ładna... - Obdarzył ją uroczym uśmiechem.

- Powiedziano panu? Kto powiedział?

- Pastor Duvall i panie z komitetu parafialnego u baptystów.

Takie referencje nieco ją uspokoiły. Jeśli pastor Duvall skierował do niej tego człowieka, to mogła zrezygnować z ochronnego pancerza.

- Przysłał pana pastor Duvall?

- Tak... Kiedy mu powiedziałem, że potrzebuję cielaka, powiedział, że ma pani do sprzedania jednego holsteina...

- Mam nawet kilka...

Działo się to wtedy, kiedy miała ponad osiemdziesiąt krów i dwóch stałych pracowników. I przedtem, nim Blaine Thomas ją okradł.

Na wspomnienie tych wydarzeń Wren zazgrzytała zębami. Była naiwną idiotką!

Raz już tak sparzona, byłaby idiotką, gdyby teraz dopuściła do sytuacji, w której na przykład Keegan Winslow mógłby ją pozbawić resztek, jakie pozostały z kwitnącej niegdyś hodowli.

Bossie zamuczała głośno, odrywając Wren od przykrych wspomnień. Postanowiła wrócić do domu.

Złożyła szczotki i łopaty, po czym poszła na pięterko, żeby zabrać rzeczy Keegana Winslowa.

SAMOTNI KOCHANKOWIE

W małym pokoiku było bardzo zimno. Gdyby tu zostawiła swego niespodziewanego gościa w gorączce, to chyba zamarzłby na śmierć. Podniosła z podłogi kapelusz z szerokim rondem i czarną skórzaną kurtkę. Zbyt wielki na nią kapelusz włożyła na głowę, by nie zawadzał, i z wiklinowego krzesła bez jednej nogi zabrała wypchaną torbę. Przerzuciła ją przez ramię i ruszyła w kierunku schodów. Gdy była przy drzwiach, kątem oka dostrzegła, że z bocznej kieszeni torby wypada na ziemię coś białego. Obejrzała się szybko i zobaczyła leżącą na podłodze fotografię. Odłożyła torbę, skórzaną kurtkę i zdjęła opadający jej na oczy kapelusz. Podniosła fotografię. Brzegi były postrzępione, plamy z wody i ślady palców częściowo zniekształciły zdjęcie, na którym ujrzała mężczyznę, kobietę i dziecko.

Mężczyzna to chyba Keegan. Ta sama sylwetka i ta sama twarz, ale jakaś inna. Na ustach szczęśliwy uśmiech, jasne spojrzenie. Wyprostowany, w szortach i koszulce polo. Włosy krótko przystrzyżone. Takie, jakie noszą wojskowi albo policjanci. Czyżby był jednym lub drugim? Jasna plamka na palcu, jakby odbłask. Obrączka? Jedną ręką obejmuje kobietę. Kobieta wpatrzona w niego jak w obrazek. Piękny obrazek mężczyzny silnego, opanowanego, pewnego siebie. Tak, on chyba był żołnierzem. A może właśnie policjantem...

Kobieta ładna. Ładna, nie piękna. Usta rozchylone... Szerokie usta, chyba za szerokie. Śmieje się. Ma długie blond włosy opadające na ramiona. I prostą sukienkę w kwiaty. Wren bardzo lubiła takie sukienki. Miała ich kilka.

SAMOTNI KOCHANKOWIE

53

No i dziecko. Kobieta trzyma je w ramionach. Małe dziecko, najwyżej rok. Chyba dziewczynka. Ma jasne włosy jak matka. W tle tej trójki soczyste pastwisko, a dalej rząd drzew...

Wren zastanawiała się, jak dawno mogła być zrobiona fotografia. Na odwrocie nie było daty. Bez wątplenia żona i dziecko Keegana. Żona Maggie, którą parokrotnie wzywał. Co się z nimi stało? Odeszły, czy nie żyją? Tak czy inaczej Keegan stracił rodzinę. Biedny człowiek. Ileż musiał wycierpieć! Może nawet więcej niż Wren.

Do oczu Wren napłynęły łzy. Już wiedziała, co powinna zrobić... Bez względu na jej obawy i wątpliwości powinna zaproponować Keeganowi pozostanie. Potrzebował namiastki domu, a ona potrzebowała rąk do pracy na farmie. Pomyślała sobie, że to niebo jej go zesłało. Tak, kto wie, czy właśnie nie niebo skierowało jego kroki na tę farmę. Fotografię z powrotem włożyła do bocznej kieszeni torby, zabrała wszystkie rzeczy i ruszyła do domu.

Keegan otworzył oczy i zapatrzył się w biały sufit. Gdzie on, u diabła, jest? W głowie miał zamęt i czuł bolesne walenie w skroniach. Bardzo chciało mu się pić. I było mu piekielnie zimno. Dygotał. Unosząc lekko głowę, spojrzał na siebie i stwierdził, że jest opatulony kilkoma kocami, a na nogach ma w dodatku ozdobioną koronkami kołdrę. Dlaczego więc jest mu tak zimno? Rozejrzał się po pokoju. Prawdziwe antyki... i to sporo... Na ścianach olejne pejzaże, w oknach zasłony w kolorze kołdry na łóżku...

Jak się tu dostał? Próbował usiąść, ale poczuł, że kręci

SAMOTNI KOCHANKOWIE

mu się w głowie i jest bliski utraty przytomności. Zrezygnował z wysiłków. Ostrożnie opuścił głowę na poduszkę i przyłożył dłoń do czoła.

Myśl, Keeganie Winslow! Myśl! Szkolono cię, żebyś myślał. Wziął głęboki oddech i zakrztusił się. Zaczął kaszleć. Zwinął się w kłębek i głowę przykrył prześcieradłem.

Usłyszał skrzypnięcie drzwi.

- Keegan?

Kobiecy szept. Kto to może być?

Może Maggie? Serce mu żywiej zabiło, ale coś mu podpowiadało, że to niemożliwe. Dlaczego?

Postanowił sprawdzić. Odchylił prześcieradło i zerknął w kierunku, z którego dobiegł głos.

We framudze drzwi dostrzegł szczupłą kobietą sylwetkę. Miała na sobie fartuch i niosła coś, co pachniało jak świeżo upieczona szarlotka. Przecież to Maggie lubi piec szarlotki! Nie rozpoznawał twarzy kobiety. Kilka razy zamrugął oczami. Nie był pewien, kogo widzi. Czy to możliwe? Czyżby to naprawdę była Maggie?

- Przyniosłam sok i aspirynę... - Kobieta weszła do pokoju. Towarzyszył jej zapach szarlotki, ale w rękę miała tylko szklanekę i pudełeczko. - Jak się pan czuje?

Głos miała miły, melodyjny. Bardzo podobny do głosu Maggie. Tylko że mówiła z południowym akcentem, a Maggie pochodziła z Nebraski.

Próbował coś odpowiedzieć, ale zdumiał się, usłyszawszy swój własny ochrypły głos, wypowiadający tylko dwa słowa:

- Proszę pić!

SAMOTNI KOCHANKOWIE

55

Kobieta podeszła do łóżka i delikatnie uniosła mu głowę:

- Proszę otworzyć usta!

Posłusznie otworzył usta. Kobieta położyła mu na języku dwie tabletki, a potem umieściła między wargami brzeg szklanki.

- Niech pan połknie tabletki i popije. Uczynił, co kazała.

- Dziękuję - wyszeptał.

- Nie ma za co.

Chciała odejść, ale on wyciągnął rękę i chwycił jej dłoń. Próbowwała ją cofnąć. Czyżby się bała? Keegan miał nadzieję, że nie. Bardzo chciał jej podziękować za okazaną dobroć. Uniósł dłoń kobiety do swych spierzchniętych ust i złożył na niej pocałunek. Było to właściwie delikatne muśnięcie. Dłoń kobiety zadrżała. Powtórzył swój gest wdzięczności jeszcze dwa razy. Potem kobieta uwolniła dłoń i szybko wyszła z pokoju.

Dotyk jej dłoni zrobił na nim ogromne wrażenie. Jakby otrzymał zastrzyk eliksiru błogości. W parę minut potem zasnął, ale przed samym zaśnięciem uświadomił sobie, że tajemniczą kobietą nie była Maggie...

Wren jak we mgle pokuśtykała do saloniku, gdzie bez sił opadła na sofę. Dłoń pocałowana przez Keegana jeszcze dygotała, a jej serce znowu waliło jak szalone. Była wystraszona. Nie, była przerażona własnymi reakcjami. Nie powinna tak się czuć, a jednak... Dłonie zacisnęła w pięści, usta w linijkę i patrzyła przez okno na ciemne chmury napływające od horyzontu. Wprost trudno jej było uwierzyć, że zaledwie muśnięcie dłoni przez zupełnie ob-

SAMOTNI KOCHANKOWIE

cego człowieka może doprowadzić ją do podobnego stanu. Przecież ona reaguje tak, jak kobieta w noc poślubną, obsypywana namiętymi pocałunkami przez ukochanego męża.

Przecież Keegan Winslow nie miał najmniejszego zamiaru przesyłania jej sekretnego sygnału. W jego geście nie było żadnych erotycznych intencji. Ot, po prostu chory człowiek dziękował za opiekę i pomoc. Wren wszystko to doskonale wiedziała, a jednak nie potrafiła oprzeć się targającym nią uczuciom. Empatii, smutku, nadziei, oczekiwania... no i potrzebie miłości. Miłości, jakiej każda kobieta pragnie doznać, jak i nią obdarzać. Miała nieprzepartą ochotę dotknąć mężczyzny, dotykiem ukoić człowieka, który w przeszłości tyle musiał przecierpieć.

Jednocześnie jakiś wewnętrzny głos ostrzegał ją przed uczuciowym angażowaniem się. Na miłość boską, uważaj, Wren, upominała się w myślach. Nawet jeśli on okaże się inny, niż wydawało się na początku, to tak czy inaczej poczujesz się zraniona. Dziś on tu jest, ale jutro odejdzie, bo po co mu kulawa stara panna.

Znowu stanął jej przed oczami Blaine. Zaciśnęła szczęki na wspomnienie słów, jakie rzucił jej w twarz, kiedy odkryła, że ją okrada, i powiedziała mu to. Wtedy roześmiał się i wysyczał, że jest brzydka i że tylko można się nad nią litować. Dodał, że żadnemu mężczyźnie nie potrzebna jest taka kaleka.

Najgorsze było to, że Wren uwierzyła tym słowom Blaine'a... Potrząsnęła głową, żeby przepędzić złe myśli i wspomnienia. Wstała i poszła do kuchni, by przygotować Keeganowi rosół z makaronem. Nic tak nie stawia na

SAMOTNI KOCHANKOWIE

57

nogi, jak rosół z kury i jarzyn z dużą ilością marchwi, cebuli no i oczywiście z makaronem. Musi szybko wykurować chorego, bo tak najwidoczniej zdecydowały moce niebieskie. A kiedy chory stanie na nogi, nie będzie próbowała go zatrzymać, pożegna ciepło i wyśle w drogę z Bogiem. Oferta pracy na farmie jest niewskazana. Łączyło się z tym zbyt wielkie ryzyko, gdyż jej uczucie do tego człowieka było kuszeniem losu. Kto wie, czy nie złego losu.

Tak, tak, postawić go na nogi i wysłać w drogę! Samarytański uczynek, chrześcijański obowiązek, nic poza tym. Nie należy niczego więcej chcieć i niczego więcej ofiarowywać. Zadowolona z rozwiązania problemu odetchnęła głęboko kilka razy i zabrała się do roboty.

Jednak choćby potem szorowała ręce przez godziny, nie potrafiłaby zmyć niewidzialnego śladu na dłoni w miejscu, którego dotknęły usta Keegana Winslowa.

Kiedy Keegan obudził się ponownie, czuł się już znacznie lepiej, chociaż nadal spływał potem.

Odrzucił koce, chcąc wstać, ale zabrakło mu sił, by się dźwignąć, więc zrezygnował. Leżał więc na boku i zastanawiał się, co robić dalej, kiedy usłyszał pukanie do drzwi.

- Proszę - odparł, zdziwiony, że potrzeba tyle wysiłku, by wypowiedzieć jedno proste słowo.

Do pokoju weszła kobieta. Szła tak, jakby się bała. Jakże ona się nazywa? Zupełnie zapomniał, a przecież chyba mu powiedziała. Ma takie dziwne imię. Coś wspólnego z ptakiem... Z wroną? Jest! Wren! Na imię ma Wren.

- Jaki pan spocony! - wykrzyknęła.

SAMOTNI KOCHANKOWIE

Widząc jej badawczy wzrok, Keegan instynktownie zasłonił kocem klatkę piersiową.

- To właściwie dobrze - ciągnęła kobieta. - To oznacza, że gorączka zaczyna spadać. Trzeba, żeby pan się mocno wytarł, a ja zmienię mokrą pościel na suchą... Potrafi pan przejść na chwilę na krzesło? Dam panu gąbkę i ręcznik, dobrze się pan wytrze, a ja w tym czasie zajmę się zmianą prześcieradeł...

- Rozumiem, dobrze. Postaram się... Z wielkim wysiłkiem usiadł.

- Niech pan mnie obejmie za szyję... - Pochyliła się. - Niech pan dobrze się na mnie wesprze i podciągnie... Proszę się nie bać, utrzymam pana...

Keegan spełnił polecenie, bo był zbyt słaby, żeby wstać i samemu przejść na krzesło. Czuł się jednak głupio i bardzo dziwnie tak blisko kobiety, która miała tyle kobiecego czaru i dobroci. Coś mu się przypomniało. Mignął mu jakiś obraz, kiedy po raz pierwszy zobaczył jej twarz. Chyba przez szparę w drzwiach. Nie pamiętał... Wtedy zrobiła na nim wrażenie nieuczynnej... Nie, nie. Może to jakieś przywidzenia. Najgłupszy z najgłupszych nie nazwałby tej kobiety nieuczynną. To anioł! Pomogła mu przejść kilka kroków na stojący pod oknem fotel. Keegan opadł nań ciężko! Krępowano go to, że ma na sobie wyłącznie kalesony, choć w rodzaju szortów. Ta intymność była naprawdę żenująca. Intymność męża i żony w domowych pieleszach...

Jakby świadoma jego myśli, Wren wzięła z łóżka koc i zarzuciła mu na ramiona. Skrzętnie okrył się po kolana. Widział, że zauważyła jego odrażającą bliznę i że twarz

SAMOTNI KOCHANKOWIE

59

jej stężała. To powinno ją raz na zawsze odstraszyć, pomyślał ni to z zadowoleniem, ni z żalem.

- Zaraz wrócę - powiedziała i wyszła.

Gdy został sam, wbił wzrok w sufit i zaczął zbierać myśli. Pojęcia nie miał, gdzie jest i jak długo tu przebywa. Nie wiedział, jaki to dzień i skąd się tu znalazł. Przeniósł wzrok na okno i choć zapadał już mrok, za oknem zobaczył płaty zlodowaciałego śniegu. Nie mówiło mu to jednak nic.

- Mamy wszystko, co nam potrzeba - obwieściła triumfalnie Wren, powracając z miską wody, mydłem, ręcznikiem i jakąś ścierką. Do roboty, szanowny panie! Od razu poczuje się pan lepiej...
Jak nowy.

- Znam ten tekst. Byłem kilka razy w szpitalu i pielęgniarki tak mówiły. A ja zawsze pozostawałem taki sam.

- No wiem, wiem. W tej chwili wygląda pan jak półtora nieszczęścia do kwadratu.

Na stoliku obok fotela postawiła miednicę, do wody wrzuciła mydło i to, co wziął za ścierkę, a co okazało się myjką frotte. Popatrzyła chwilę, kiwając głową, podeszła do łóżka, z którego zdjęła koce, a potem prześcieradło, zastępując je nowym.

Nie miał zamiaru podglądać, niemniej nie umknęło jego uwadze, że w obcisłych džinsach tyłeczek tej kobiety jest wcale ponętny. Podobały mu się także jej jasnokasztanowe, kręcone włosy, opadające kaskadą na kark. Nie rozumiał, dlaczego coś nieustannie ściąga na nią jego wzrok, a wyraźnie ściągało. Dokonując więc wstępnych ablucji, stale na nią zerkał. Nie była kobietą klasycznej urody i poza tym kulała. Było w niej jednak coś wspania-

SAMOTNI KOCHANKOWIE

lego. Kojącego i swojskiego. Zaczynał też poznawać jej charakter: słodka dobroć, a jednocześnie siła hartowanej stali. Z taką kobietą można iść śmiało przez życie...

Maggie! Przypomniawszy sobie Maggie. Myślał, jaka była i że już jej nie ma. I że to stało się półtora roku temu.

Ta kobieta jest pierwszą, którą podczas tego półtora roku dostrzegł. Na której jego wzrok spoczął na dłużej niż ułamek sekundy. Dziwny jest ten świat... Aby opędzić się od natrętnych myśli zaczął energicznie wycierać szyję myjką.

Na nic wszelkie wysiłki. -Wren była w pokoju razem z nim i słyszał jej oddech. Niezwykła kobieta. Jakaż inna przyjęłaby go do swojego domu i otoczyła troskliwą opieką. Bardzo mu to odpowiadało, ale za żadną cenę nie chciał się do tego przyzwyczaić. Potrzeba posiadania kogoś, kto otaczałby go troską, mogła stać się nałogiem. A pamięć Maggie... Źle trafił. Powinien trafić na farmę, której właścicielami byłaby para staruszków. Niechby nawet była jedna osoba płci żeńskiej, ale leciwa. Nie miałyby też nic przeciw samotnemu kawalerowi albo nawet hałaśliwej rodzinie z pięciorgiem dzieci. Spędzenie w każdej z takich rodzin kilku dni mogło być wcale interesującym przeżyciem, bez komplikacji, jakie mogą wystąpić w tym domu...

Gdy już umył twarz, szyję, ręce i wyszorował się pod pachami, nie był zdolny do niczego więcej. Zmęczył się, zasapał, całkowicie osłabł. Opuścił głowę i ciężko oddychał.

- Potrzebna panu pomoc? - spytała Wren, podchodząc ze zdjętymi z łóżka przeпоconymi prześcieradłami.

SAMOTNI KOCHANKOWIE

61

Patrzyła tak jakoś serdecznie, że Keeganowi zrobiło się gorąco.

- Nie, nie, dam sobie radę... - wyjąkał.

- Nonsens - odparła zdecydowanie. - Trzęsie się pan jak osika, jest pan blady jak ściana. - Trzymane pod pachą zmięte prześcieradła rzuciła na podłogę. - Niech pan mi da tę myjkę.

Jej bliskość zupełnie go dezorientowała. Bez słowa podał jej myjkę, myśląc przez cały czas, że chętnie pozwoliłby się wziąć w ramiona, żeby tu na miejscu zasnąć.

Po chwili zaczął się złościć na siebie za to, że bez protestu wykonał jej polecenie. Był przyzwyczajony raczej do wydawania poleceń i rozkazów, a mniej do ich wykonywania.

- We włosach nadal ma pan krew - powiedziała. - Muszę to zmyć. Może zabołec.

Gdy przyłożyła mokrą myjkę z tyłu głowy, zasyczał z bólu. Ale jednocześnie ten mokry kompres sprawił mu ulgę. Wren pochylała się nad nim, przemywając zakrwawione kosmyki, a jej piersi znajdowały się o kilka centymetrów od jego ust. Gdyby tak jeszcze bardziej się pochylała, a on wyciągnął język... Jeśli w myślach można chichotać, to Keegan właśnie to zrobił. Ale przytrafiła mi się przygoda, pomyślał.

- Czy wszystko w porządku? - spytała nagle Wren, odsuwając się kilka kroków.

Z wyrazu jej twarzy wnioskował, że czymś ją przestraszył. A może przy tym chichocie wydał jakiś mimowolny dźwięk?

- Wszystko w porządku - odparł. - Jestem tylko okropnie zmęczony.

SAMOTNI KOCHANKOWIE

- Niech pan jeszcze trochę wytrzyma. Niedługo skończę.

Pasemko po pasemku zmywała zakrzepłą krew. Przy tej czynności stwierdziła, że Keegan ma piękne włosy. Rana nie była duża i już się zasklepiła. Obserwując jego zachowanie, doszła do wniosku, że wstrząsu mózgu chyba nie doznał. A już na pewno nie poważnego. Po prostu oberwał guza i wcale okazałego siniaka. Wkrótce guz powinien stęchnąć. Zmywając bark i plecy Keegana, Wren po raz pierwszy mogła dokładnie przyjrzeć się bliźnie długości dwóch lub trzech myjek. Od szyi przez prawy bark do połowy pleców miał okropny ślad po oparzeniu skóry. Głębokie wżery były przerażające. Aż dziw, że wszystko się zagoiło. Były to ślady po poparzeniu drugiego, a miejscami i trzeciego stopnia. Była bardzo ciekawa, jak to się stało, ale nie miała odwagi zapytać. Wiedziała dobrze, że przy takich oparzeniach pacjent przebywa w szpitalu kilka miesięcy, okropnie cierpi i jest poddawany wielu zabiegom. Tak, Keegan przecierpiał wiele. Wren zadawała sobie pytanie, czy te poparzenia mają jakiś związek z utratą rodziny. Tej kobiety na fotografii i dziecka. Była przekonana, że tak.

Gdy skończyła mycie, stanęła przed Keeganem, skrzyżowała ręce na piersiach i pokiwała głową.

- Zostało nam jeszcze golenie. Przydałby się panu taki zabieg... Mogłabym przy okazji dowiedzieć się, jak pan naprawdę wygląda. Z tym tygodniowym zarostem sprawia pan wrażenie... - Na końcu języka miała słowo „włóczęgi”, ale się powstrzymała. - Mogłabym pana ogolić... -Zwariowałaś, zaczęła wyrzucać sobie w myślach. Co ci

SAMOTNI KOCHANKOWIE

63

znowu przychodzi do głowy: golić nieznanego mężczyznę.

Keegan bacznie się jej przyglądał. Wren była gotowa przysiąc, że jest w tym coś erotycznego.

Oblała ją fala gorąca. Mężczyzna pokiwał głową.

- Może ogolony poczułbym się lepiej... - przyznał.

Wren lekko drżały ręce, gdy szybkim krokiem szła do łazienki, gdzie w szafce trzymała różowe damskie maszynki do golenia jednorazowego użytku. W łazience spojrzała w lustro i przeraziła się: oczy jej nienaturalnie błyszcząły, na policzkach miała wypieki. Zachowuje się jak zadurzona nastolatka! Głupia stara panna!

Wzięła maszynkę i pianisty damski krem zmiękczający, po czym wolnym krokiem, głęboko zamyślona wróciła do sypialni, gdzie w fotelu pod oknem siedział Keegan w tej samej wyczekującej pozycji, w jakiej przed kilkoma minutami go zostawiła.

Uśmiechnęła się zachęcająco, na palce prawej dłoni nabrała sporą porcję kremu i rozsmarowała ją na twarzy pacjenta. Nawet sprawnie jej to szło. Może dlatego, że powtarzała sobie przez cały czas, że jest pielęgniarką na męskim oddziale pacjentów z poważnymi urazami i że jej obowiązkiem jest zapewnić im fachową opiekę. Jej siła sugestii musiała być wielka, skoro bez jednego zacięcia zupełnie przyzwolicie ogoliła swego podopiecznego, bardzo zadowolona, że on - chyba ze strachu przed jej amatorszczyzną - ma zamknięte oczy. Czułaby się skrępowana, gdyby wodził oczami za każdym jej ruchem.

Czy jednak te zamknięte oczy nie oznaczały zupełnie

SAMOTNI KOCHANKOWIE

czegoś innego: że ona mu się nie podoba i woli jej nie widzieć. No tak, stara panna, kaleka, po co mu to!

Ale przecież od kogo jak nie od niego mogła spodziewać się zrozumienia. Ona utyka, ale on ma spaloną szyję i połowę pleców. To też nic specjalnie atrakcyjnego dla kobiety.

Przestań zmyślać dyrdymały, skarciła się. Ani ty nie znasz Keegana, ani on nie zna ciebie na tyle, by móc cię akceptować lub odrzucić jako kobietę. I czego ty właściwie chcesz? Nawet bez utykania trudno byłoby ocenić twój kobiecy czar na dziesiątkę, lecz dużo poniżej...

Mrugnęła nerwowo parę razy i zdała sobie nagle sprawę, że patrzy w próżnię z ręką uzbrojoną w żyletkę i zawieszoną w przestrzeni. W tym momencie Keegan otworzył oczy, Wren opuściła wzrok i spojrzenia obojga skrzyżowały się. Zaskoczona głośno wciągnęła powietrze. Keegan wpatrywał się w nią intensywnie. Przeraziła się. Nie Keegana, ale własnej reakcji na to jego męskie spojrzenie. Zdołała wypowiedzieć jedno słowo „skończyłam”, zerwała się i wybiegła z pokoju. Chciała znaleźć się jak najdalej od niego.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Keegan uznał, że musi odejść z tego domu. Swoją obecnością zakłócał spokój tej dobrej kobiety. W jej zagubionym spojrzeniu widział wyraźnie, że została wytrącona ze swego uregulowanego trybu życia. Jej umknięcie z pokoju tylko uwypuklało ten fakt. Miała rację, że się go bała. Obcy człowiek wtargnął w jej spokojne dni, zagroził jej światu. Trzeba stąd zniknąć. Wykonać własny plan. Pozostawanie w ciepłym zaciszu tylko go rozklei, a przecież po to, by mógł zrobić to, co zamierzał, musi być silny, czujny i w pogotowiu. I nie wolno poddawać się żadnym uczuciom, które by stępiały jego determinację.

Dziwne, ale po ogoleniu poczuł się naprawdę lepiej. Najwyższy czas zmyć się stąd... Gdzie jest ubranie?

Z fotela pod oknem łatwo było zlustrować każdy zakątek sypialni. Pośrodku drewnianej wypolerowanej podłogi z sosnowych desek leżała indiańska makata. Na stoliku obok łóżka lampa z abażurem Tiffany'ego. Wyraźnie oryginał. Po drugiej stronie łóżka mahoniowy kosz na śmieci, a może na brudną bieliznę.

Ten pokój przypominał mu wnętrze farmy dziadków w stanie Wisconsin. Tamten dom był zawsze pełen radości, śmiechu, ludzkich głosów, pocałunków i życzliwych słów...

SAMOTNI KOCHANKOWIE

Szukasz swoich spodni, a nie łzawych wspomnień, skarcił się w duchu. Keegan uznał, że na obecnym etapie musi być dla siebie nieco bardziej surowy.

Wreszcie zobaczył spodnie i koszulę starannie złożone na krześle pod ścianą, a obok na podłodze torbę wędrowca, a na niej skórzaną kurtkę i kapelusz. A buty? Dostrzegł noski butów wystające spod łóżka. A więc ma tu wszystko. Z wyjątkiem magnum... Miał nadzieję, że Wren mu je odda, jeśli wychodząc ją o to poprosi.

Przeciągnął dłonią po gładko ogolonym policzku i przypomniał sobie, jak delikatnie Wren dotykała koniuszkami palców skóry jego twarzy. Uznał jednak, że lepiej będzie o tym zapomnieć. Podobne wspomnienia tylko pogrążały go w żalu za utraconym szczęściem. Musi odciąć się od wszystkiego, co mogło uczynić go bardziej ludzkim. Patrzenie na świat z zimnym wyrachowaniem było jedynym pancerzem pozwalającym przetrwać. Na łagodność i delikatność nie ma miejsca w jego życiu. W każdym razie nie teraz, a może już nigdy.

Jazda, Winslow, ubieraj się i zmykaj stąd! Przebywanie w pobliżu Wren Matthews tylko rozpali w tobie pożądanie tego, czego nie masz prawa pożądać.

Na przykład posiadania bliskiej istoty.

Otóż to! I dlatego musisz stąd odejść, obdarzając Wren jedynym uczuciem, jakie wolno ci w sobie hodować: wdzięcznością.

Z trudem wstał i postąpił krok. Natychmiast się jednak zatoczył. Przez długą chwilę odpoczywał, wspierając się o krzesło. Po minucie ruszył wolno w stronę łóżka. Te kilka metrów do przebycia wydawało mu się milą. Miał

SAMOTNI KOCHANKOWIE

67

ochotę powrócić na fotel, ale wiedział, że musi wytrwać, ponieważ jedynym ratunkiem było odejście z tego domu. Dotarł wreszcie do łóżka i czym prędzej usiadł na jego krawędzi, uznając, że za ten bohaterstwo wyczyn należy mu się odpoczynek.

Zerknął w okno i ze zdumieniem stwierdził, że przez ten krótki czas prawie zupełnie się ściemniło, a poza tym zaczął padać ciężki, mokry śnieg.

Niech to wszyscy diabli!

Chwył się go nagle przeszywający ból, a jednocześnie dostał ataku kaszlu. Nie poddawaj się, słabeuszu! Nie ulegaj słabości! Wstań i ubieraj się!

To nie były jego słowa," ale Leonarda Winsłowa, zawodowego żołnierza, twardego drania, nie ulegającego żadnym pokusom. Życie z ojcem, zawodowym sierżantem, było trudne, ale zahartowało jego syna Keegana.

Teraz Keegan miał obowiązek do spełnienia, kilka miejsc do odwiedzenia, człowieka do zabicia. Wziął się w garść i sięgnął po koszulę. Koszula była czysta i pachniała mydłem. To Wren uprała ją, kiedy spał. Poczł się winny. Nie miał prawa narażać tej kobiety na kłopoty, które przywłócił ze sobą. Był aroganckim człowiekiem, lekceważącym prawo, ponieważ prawo i sprawiedliwość go zawiodły. Dyszał żądzą zemsty, a zemsty nie uważał za grzech. Ma do niej prawo, skoro sprawiedliwość okazała się ślepa. Postanowił wziąć sprawę we własne ręce. Oko za oko, ząb za ząb. Ilekroć myślał o tym, co Heller zrobił z jego rodziną, siniał, zaciskał pięści i był gotów go rozszarpać. Nie miał jednak prawa mieszać w to

SAMOTNI KOCHANKOWIE

Wren Matthews. Gdyby jej o tym powiedział, na pewno by go przekonywała o potrzebie wybaczenia.

Maggie też byłaby skłonna wybaczyć...

Maggie! Nazywał ją pacyfistką. Maggie była istotą wielkiej łagodności i delikatności. Właściwie to nie stanowili dobranej pary. Ona, córka natury, pełna dobroci, a on, syn wojskowego, policjant...

- Musisz czym prędzej ruszyć w drogę! - rozkazał sobie na głos. - Tym razem Heller nie może ci umknąć. Nie teraz, kiedy go wytropiłeś, kiedy jesteś tak blisko!

Przypomniał sobie słowa Maggie, wypowiedziane kiedyś żartem: „Jeśli mi się coś stało, to masz ponownie się ożenić! Takiego jak ty szkoda na żałobę”. Tak, byli pochodzeniem niedobraną parą, ale bardzo dobraną w tym sensie, że się wzajemnie dopełniali. Ona pokazywała mu piękne strony życia i obdarzyła córką, on usiłował pokazać jej mniej różowe zakamarki życia i świata. Ostrzegał, pilnował, chronił. Do chwili poznania Wren Matthews, Keegan na myśl o innej kobiecie odczuwał wręcz niesmak...

Jednakże nawet teraz, kiedy Wren przyciągnęła jego uwagę, nie miał prawa myśleć o jakimkolwiek zbliżeniu. Już nawet nie chodziło o niego samego, ale o nią. Musiał porzucić jej dom. Dla jej dobra. Pragnienie zemsty urosło w nim do rangi świętego obowiązku. Nie byłby dobrym kompanem dla żadnej kobiety.

Tak, Maggie by z pewnością wybaczyła. Wren także wybaczyłaby każdy zamach na jej byt. Ale Keegan nie był właściwym towarzyszem ani dla jednej, ani dla drugiej. Obie należały do kategorii słodkich, z gruntu dobrych ko-

SAMOTNI KOCHANKOWIE

69

biet, gotowych poświęcić się dla kochanego mężczyzny. Takich istot nie wolno narażać na cierpienia, gdy obdarzają swego mężczyznę zaufaniem.

Co się stało, to się stało. Nie ma już Maggie i Kate! Zemsta nie wróci mu ich, natomiast - trzeba się nad tym zastanowić! - najprawdopodobniej uniemożliwi mu znalezienie w przyszłości uczucia, które można by nazwać miłością. Tak podpowiadał rozsądek. Ale czy powinien słuchać głosu rozsądku? To prawda, miłości nowej nie zazna, ale może zazna namiastki spokoju i wygasi gorejącą w nim od półtora roku nienawiść do człowieka, który zrujnował mu życie.

A że nie zazna już nigdy miłości... Niech to będzie kara za jego własne złe uczynki. Ktoś kiedyś powiedział, że lepiej kochać i nawet utracić to uczucie, niż nigdy nie kochać. To z pewnością powiedział ktoś, kto utracił osoby najbliższe.

Może jednak Wybaczysz, nadal podpowiadało mu sumienie.

- Przenigdy! - Niemal wykrzyczał to słowo. Nigdy nie wybaczy. W jego sercu nie było miejsca na litość. Litość jest dla słabych. On musi ujrzeć twarz Connora Hellera, błagającego o darowanie mu życia.

Wkładając sweter przez głowę, Keegan położył się na łóżku, spocony, wyczerpany, rozkaszlany. To z pewnością bronchit. Ale nie wolno się teraz nad sobą rozczulać. Musi dopaść Hellera i zemścić się. Zemsta jest przyjacielem! Wykrzywił twarz w sardonicznym uśmiechu. Towarzysz mi w drodze, zemsto-przyjaciółko!

Ubieraj się szybciej, szeptał do siebie, zaciskając zęby.

SAMOTNI KOCHANKOWIE

Heller jest blisko, w powiecie-Erath. Wiesz dobrze, że tu ma rodzinę. Jeszcze nigdy nie byłeś tak blisko celu, nie ustawaj!

Uświadomił sobie, że potrzebna jest mu mapa i telefon. Rozejrzał się i zobaczył czarny aparat telefoniczny na toalecie. A pod nim czarną książkę telefoniczną. Jej widok dodał mu siły, której potrzebował, by dopaść do toaletki. Jednym szarpnięciem wyjął książkę i przerzucając strony, dotarł do litery H.

Jest! Jim Heller! Droga Przy Farmie 132, skrzynka do listów 466. Pojęcia nie miał, czy to daleko od farmy Wren. I niestety nie może jej o to spytać. Im mniej ona wie o jego sprawach, tym lepiej. Ale poprosi o lokalną mapę.

Wrócił do łóżka i wciągnął dzinsy. Po tym wysiłku musiał odpocząć. Za oknem było zupełnie czarno. Wył wiatr. Głośno szumiały targane nim gałęzie drzew.

No to co? Nie marudź, dokończ się ubierać i w drogę, nakazywał sobie.

Sięgnął po buty. Gdy je wyjął spod łóżka, zobaczył, że są wypucowane.

Wren.

Poczuł ucisk w klatce piersiowej. Nie podobała mu się ta jej opiekuńczość i troska o jego dobro.

Opuszczenie tego domu stawało się teraz nakazem. Musi to zrobić, nim któreś z nich zostanie głęboko zranione. Chwycił buty i poderwał się z łóżka. Poczuł skurcz w okolicach karku, sypialnia zawirowała, nogi się pod nim ugięły. Z jękiem padł na ziemię. Nie stracił jednak przytomności, więc usiłował się dźwignąć. Nic z tego. Jest zbyt słaby. Okrutna to prawda i nic na to nie poradzi. Musi pozostać w tym

SAMOTNI KOCHANKOWIE

71

domu, póki nie odzyska sił. Musi zostać z kobietą o złotym sercu. Z kobietą, która nie zasługiwała na znajomość z takim jak on draniem.

- Keegan?

Wren delikatnie zapukała do drzwi. Trzymała tacę z pożywnym, gęstym kurzym rosołem z makaronem i szklanką pianistego mleka. Przed przyjściem wszystko przemyślała. Keegan, chce czy nie chce, potrzebuje jej opieki. A ona, chce czy nie chce, musi mu ją zapewnić. Odrzucała jak najdalej myśli, które przychodziły jej do głowy, że ten mężczyzna bardzo jej się podoba i że chciałaby, by pozostał na farmie. W jakim charakterze...? Głupie myśli. Teraz jest najważniejsze, by odzyskał zdrowie. Bez jej pomocy choroba może się rozwinąć... Już dawno nie musiała dbać o żadnego człowieka. Wyładowywanie samarytańskich instynktów na krowach to za mało...

- Wszystko w porządku?

Nie odpowiedział. Bardzo ją to zaniepokoiło.

- Panie Winslow?

Weszła, nie czekając na odpowiedź. Zapaliła światło. Zamarła przerażona. Keegan leżał na podłodze, ubrany, i pojękiwał.

- O mój Boże! - wykrzyknęła.

Odstawiła tacę na stolik przy łóżku i pochyliła się nad leżącym, który miał otwarte oczy wpatrzone w sufit.

- Co się stało?

- Wszystko w porządku. Proszę nie lamentować.

- Dlaczego nie leży pan w łóżku? Po co się pan ubierał?

SAMOTNI KOCHANKOWIE

Mimo dość opryskliwej odpowiedzi Keegana nie ustępowała. Chciała koniecznie wiedzieć, czy on odpowiada w malignie, czy wie, gdzie jest i dlaczego.

Kto wie, czy to uderzenie głową o ziemię w oborze nie spowodowało poważniejszej kontuzji. Może uraz mózgu?

Wren przygryzła wargi. To wszystko jej wina. Nie powinna była pozostawiać Keegana samego.

Trzeba było pomóc mu powrócić do łóżka. Gdyby nie te przedziwne emocje, jakie ją napadły w czasie golenia... Powinna była pozostać. Ale uciekła, przerażona rodzącym się w niej pożądaniem.

- Jak pan się nazywa?

- Wiem, kim jestem.

- To niech mi pan powie.

- Jestem Keegan Winslow.

- Skąd pan tu przybył?

- Z szerokiego świata. Jestem synem wojskowego.

- To nic nie znaczy.

- Czego pani ode mnie chce? Poczula się urażona.

- Ma pan rację. Nie mam prawa o nic pytać.

- Przepraszam. Wiem, że nie jestem zbyt potulnym pacjentem. To nieznośne czuć się bezsilnym.

- Rozumiem. Bardzo dobrze pana rozumiem. - Do oczu napłynęły jej łzy. Skąd w niej czułość to tego mężczyzny?

- Chicago.

- Co Chicago?

- Jestem z Chicago.

- Domyślałam się tego z pańskiego akcentu.

SAMOTNI KOCHANKOWIE

73

- Byłby z pani dobry detektyw.

Zdziwiłby się, gdyby wiedział, jakiego ona ma nosa, jeśli chodzi o wszelkiego autoramentu oszustów, pomyślała z rozbawieniem.

- Jaki dziś jest dzień? - spytała.

- Prawdę mówiąc, to nie wiem, ale nie dlatego, że trzepnąłem głową o beton w oborze.

- Na szczęście było na nim siano. A dziś jest dwudziesty trzeci grudnia. Jutro będzie Wigilia.

- Ooo!

- Więc po co pan się ubrał?

- Po prostu chciałem, ale zakręciło mi się w głowie... więc pomyślałem sobie, że będzie bezpieczniej, jak się położę na ziemi - wyjaśnił dość niezdarnie.

- Ale dlaczego? Po co ubranie? Trzeba było od razu położyć się do łóżka...

- Zdecydowałem, że muszę iść w dalszą drogę.

- Jest pan zbyt chory i słaby, by gdziekolwiek chodzić. I to w taką pogodę!

- Nie mogę tu się wylegiwać. Mam ważne sprawy do załatwienia.

- Panie Winslow, pan jest okropnie upartym człowiekiem.

Ich spojrzenia się skrzyżowały, ale po chwili Wren odwróciła głowę, gdyż nie potrafiła wytrzymać tego, co zobaczyła w jego oczach.

- Często mi to mówiono.

Wren była ciekawa, kto mu tak często to powtarzał. Żona? I czy to było źródłem ich nieporozumień?

- Ta zupa wspaniale pachnie - powiedział i dźwignął się do pozycji siedzącej, by wziąć talerz.

SAMOTNI KOCHANKOWIE

- To znaczy, że ma pan apetyt - stwierdziła. - Bardzo się z tego cieszę. - Obdarzyła go uśmiechem, lecz Keegan nie odwzajemnił.

Wyciągnęła rękę.

- Niech pan chwyci - zaproponowała. - Pomogę panu wstać i położyć się do łóżka.

Ku jej zaskoczeniu nie opierał się, lecz skwapliwie skorzystał z propozycji. Uchwycił mocno podaną dłoń, a Wren poczuła, jakby przeszedł ją prąd elektryczny. Przestań, przestań, nakazywała sobie. To groźna zabawa te wyraźnie erotyczne fantazje. Keegan stał tuż przed nią, wyższy o głowę. I głowę niespodziewanie pochylił. Wren przestraszyła się, że jemu przyszło do głowy pocałować ją, więc odskoczyła jak oparzona. Musiała się mylić. On tylko ot tak...

- Niech pan siada - powiedziała szybko, aby pokryć zmieszanie. - Niech pan je, póki gorące.

Keegan usiadł. Wydawał się lekko rozbawiony.

Wren nie była w najmniejszym stopniu rozbawiona. Chyba na chwilę postradała zmysły. Co też jej przyszło do głowy? Keegan nie miał najmniejszego zamiaru jej pocałować. Ot, po prostu pochylił głowę. A jej reakcja to rezultat znajomości z Blaine'em. Nadmierna ostrożność i podejrzliwość.

Przez niego nauczyła się podejrzewać każdego mężczyznę. Ona kiedyś też myślała, że Blaine to ten jedyny... Cóż to znowu za pomysły? Skąd myśl, że mogłaby wejść w jakiś bliższy układ z Keeganem Winslowem, zwykłym, a może niezwykłym, ale nadal tylko włóczęgą. Włóczęgą, który opuści ten dom, gdy tylko pogoda i zdrowie mu pozwolą. Mimo wszystko, gdy na

SAMOTNI KOCHANKOWIE

75

niego patrzyła, nie potrafiła pozbyć się tego ucisku pod sercem.

- Dziękuję za zupę - powiedział Keegan, sięgając po tackę.

Jego głos wyrwał ją z transu.

- Ooo! - wykrzyknęła nie dlatego, że jej podziękował, ale z powodu gorącego spojrzenia, jakim ją obdarzył.

Gdyby wiedziała, co Keegan sobie pomyślał, to byłaby bardzo zaskoczona i chyba uciekłaby z sypialni.

Keegan też był zaskoczony tym, co pomyślał, patrząc na Wren: że ma wielką ochotę pocałować ją. I całować długo, długo... Na chwilę miękkość jej spojrzenia pozwoliła mu zapomnieć o bólu, zemście, o Maggie i Kate. Zaraz potem poczuł się jak zdrajca wielkiej sprawy i wtopił wzrok w stojący przed nim talerz, w pływające kawałki kury i plasterki marchewki. Potem przeniósł wzrok na szklanekę mleka i na wazonik z różą. Zacisnął usta. Jego Maggie też lubiła takie romantyczne dodatki do posiłku. I może właśnie dlatego, od chwili przybycia na tę farmę, tak go coś ciągnęło do jej właścicielki.

- Róża w zimie? - spytał.

- Z jedwabiu... - Zaśmiała się nienaturalnie. - Lubię je robić i pomyślałam sobie, że to poprawi panu humor.

Coś jakby jęk wyrwało mu się z gardła. Wren wydawało się, że zaszklily mu się też oczy. Odwrócił głowę. Wstydzi się. I pewno coś wspomina. W takiej chwili trzeba zostawić go samego.

- To ja sobie pójdę. W kuchni czeka na mnie robota. - Nie czekając na odpowiedź, wyszła szybkim krokiem.

Keegan był jej podwójnie wdzięczny. Za to, że zosta-

SAMOTNI KOCHANKOWIE

wiła go samego i za jej delikatność. Przecież doskonale wiedziała, że on woli zostać sam ze swoimi myślami.

W kuchni Wren rozpoczęła wewnętrzny dialog:

Myliłaś się, jemu ani w głowie cię całować. W ogóle nie myślał o tobie.

I podejrzewam, że ten człowiek nawet cię nie lubi.

Bardzo dobrze. Niech mu opadnie gorączka, niech skończą się te burze... to sobie pójdzie.

Szczęśliwej drogi!

Z hałasem odstawiła na stół wyszorowany garnek po zupie.

Poszła do sypialni Keegana, żeby zabrać tacę z naczyniami. Keegan leżał na wznak z zamkniętymi oczami, ale Wren podejrzewała, że wcale nie śpi, tylko udaje, bo nie chce z nią rozmawiać. No i dobrze. Jeśli do rana pogoda się poprawi, to pan Keegan Winslow sobie pójdzie, a ona będzie mogła spokojnie dalej samotnie świętować bez zbędnych emocjonalnych przeżyć.

Wróciła do kuchni. Jedwabną różę odstawiła na półkę, zmyła naczynia. Następnie zabrała się do pakowania świątecznych chlebków dla nauczycieli w szkole i kilku przyjaciółek w Komitecie parafialnym. Owinęła każdą paczuszkę kolorową folią i przewiązała czerwoną wstążką.

Zerknęła na zegar. Wkrótce ósma. Wiadomości! Włączyła radio i skrzyżowała palce, serdeczny i wskazujący, co miało zapewnić, że wiadomości, jakie zaraz nadadzą, będą dobre. Niech jutro zaświeci słońce, modliła się w duchu.

Milkły ostatnie tony kolędy „Cicha noc”. Wren przeszła

SAMOTNI KOCHANKOWIE

77

do sąsiadującego z kuchnią saloniku, dorzuciła polan do kominka i opadła na sofę. Wzrok wlepiła w mizerniutką choinkę. Mamy wiele wspólnego, ja i choinka, pomyślała. Obie jesteśmy biedniutki, samotne, właściwie nikomu niepotrzebne, zagubione w tym świecie. Ta choinka błagała o coś więcej. O kolorowe lampki i błyszczące ozdoby. Potrzebowała śmiechu dzieci, gwaru rozmów dorosłych...

Palcami przeczeswała włosy. Boże, co to były za cudowne święta, gdy żyli matka i ojciec. Kiedy na święta przychodzili mieszkający w pobliżu wuj Ray i ciotka Tobie, a także jej kuzynki - Lou, Jean i Karen. To było przed wypadkiem samochodowym, przed wyjazdem wuja Raya do Arabii Saudyjskiej, kiedy jeszcze kuzynki nie dorosły i nie założyły własnych rodzin daleko stąd. Ilu tu było zawsze gości na święta, ile radości, ile śmiechu. Ile miłości... Szczęśliwe dni! Wren gryzła palce, żeby powstrzymać cisnące się do oczu łzy. Po co przyniosła do domu tę głupią choinkę? Czy choinka miała zapełnić pustkę w jej sercu? Pustkę w sercu i samotność. Już wiedziała, co ją tak wzruszyło i ujęło, jeśli chodzi o Keegana Winslowa. To, że on jest takim samym samotnikiem jak ona. Szkoda, że żadne z nich nie może zapełnić pustki w sercu drugiego... Nie bredź, Wren, skarciła się. On się tylko nad tobą lituje. Nie mieszaj empatii z uczuciem.

- „Dobre wiadomości dla wszystkich, którzy marzą o białym Bożym Narodzeniu - rozległ się z głośnika głos spikera. - Zamarzły śnieg i lodowa powłoka pozostaną jeszcze przez kilka dni, tak długo, dopóki temperatura nie podniesie się powyżej zera. A nastąpi to najwcześniej jutro

SAMOTNI KOCHANKOWIE

w nocy. Tak jest, moi drodzy,, przynajmniej raz w życiu będziecie świadkami tego fenomenu w Teksasie. Śnieg w Teksasie to rzecz tak rzadka, jak lód w piekielnym kotle..."

- O Boże! - wymamrotała przerażona Wren. - Jeszcze jeden dzień tej strasznej pogody.

Jako dziecko modliła się bezskutecznie o śnieg podczas świąt, a teraz, kiedy tego najmniej potrzebowała, niebiosy skazały ją na to niecodzienne wydarzenie, co oznaczało, że na święta będzie miała gościa: Keegana Winslowa, tajemniczego nieznajomego. .

No i będzie musiała dać mu jakiś prezent. Ale co? Przecież w ciągu jednego dnia nie zrobi na drutach nawet szalika, nie mówiąc już o swetrze, chociaż... gdyby pracowała przez całą noc, to kto wie... W każdym razie trzeba mu coś dać. W Boże Narodzenie trzeba obdarowywać bliźnich.

Zwłaszcza jeśli przebywają w tym samym domu.

Poprzednie podniecenie, które wydawało się już wygasnąć, nagle się odrodziło. I jej Boże Narodzenie wcale nie będzie smutne i samotne. Ani dla niej, ani dla niego. Przynajmniej tym razem, na jeden dzień, Keegan i ona nie będą sami, będą mieli siebie.

Zerwała się i niemal wesoło pobiegła do szafy w holu, żeby znaleźć torbę z kłębkami wełny i druty. Przechodząc koło przymkniętych drzwi sypialni, usłyszała dziwny odgłos, jakby charczenie.

Zatrzymała się i zerknęła przez szparę. Keegan siedział na brzegu łóżka, zgięty wpół, jakby chciał zapanować nad bólem. Głowę podpierał dłońmi, łokciami wspierał się o kolana.

Płakał! Keegan Winslow płakał!

SAMOTNI KOCHANKOWIE

79

Ten silny mężczyzna dotarł do dna rozpacz, załamał się, nie mogąc się stamtąd wydostać. Serce skoczyło Wren do gardła i ogarnęła ją fala współczucia. Do oczu napłynęły łzy. Wstrzymując oddech, patrzyła jak zakłęta. Keegan szlochał...

Nie mogła dłużej stać pod drzwiami. Odeszła cicho na palcach, zabrała potrzebne jej przybory i poszła z nimi do pokoiku, w którym stał krawiecki stół i maszyna do szycia. Usiadła.

Pomyślała sobie, że właściwie po raz pierwszy w życiu spotkała kogoś, kto cierpi bardziej niż ona. Kogoś, kto pragnie ludzkiej dobroci, ale boi się ją przyjąć, kiedy ktoś mu ją ofiarowuje. Trzeba coś na to poradzić. Nie mogła patrzeć obojętnie na cierpienia mężczyzny. Musi mu pomóc. Podczas tych świąt musi mu udowodnić, że nie wszystko jest stracone. Może tego właśnie chciał dobry Pan Bóg, kiedy sprowadził Keegana na próg jej domu.

Podniosła głowę, podparła brodę dłonią zwiniętą w pięść i zaczęła snuć swój plan.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Nie musi pani tego robić - oświadczył Keegan. - Święta nie mają dla mnie żadnego znaczenia.

- Ale dla mnie mają - odparła Wren.

- Jednak kiedy pani jest sama, to tego nie robi. Nie było to pytanie, lecz stwierdzenie.

- Nie robię - przyznała wesoło. - Ale w tym roku nie będę sama. Będę w towarzystwie dżentelmena.

Keegan prychnął. Skrzyżował ręce na piersiach, przymrużył oczy i zaczął bacznie obserwować tę dziwną kobietę, która charakterem coraz bardziej przypominała mu Maggie. Nagle zniknęła szara myszka sprzed dwu dni. Pojawiła się silna niewiasta, która wie, czego chce. Bardzo ciekawe, ale i niepokojące, mogło bowiem zaprowadzić go nie wiadomo gdzie, a na pewno zapędzić w kozi róg. Na podłodze stało kartonowe pudło z napisem zrobionym kolorowym markerem: „dekoracje bożonarodzeniowe”. Keegan siedział z założonymi rękami i patrzył, jak Wren, ogarnięta świąteczną gorączką, wyjmuje z pudła kokardy, girlandy i inne ozdoby, roznosząc je po saloniku i umieszczając w widocznych miejscach.

Na choince migały już kolorowe lampki, a z kuchni dochodził zapach pieczonych jabłek...

Keegan zastał tu Wren o świcie. Czy ta kobieta w ogóle

SAMOTNI KOCHANKOWIE

81

nie kładła się spać? Wydawała się mieć niespożytą energię, a usta jej okalał promienny uśmiech. Czuł się bardzo zażenowany. Zdawał sobie sprawę, że ona robi to wyłącznie dla niego i czerpie radość z faktu, że właśnie dla niego. Po prostu promieniała. Nie był z tego zadowolony, gdyż zapowiadało to komplikacje zarówno dla niego, jak i dla niej. Wren obudzi się z pięknego snu, a on...? Nie wolno mu poddawać się nastrojowi chwili. Może sprowadzić go to z drogi, jaką sobie wytyczył, odciągnąć od celu, dla którego pojawił się w tej okolicy.

- Wygląda pan dziś znacznie lepiej - zagaiła Wren po długim milczeniu. - Jak się pan czuje?

- Przede wszystkim wypoczęty - odparł.

Po kryzysie, jaki przeżył poprzedniego wieczoru, zapadł w głęboki sen i spał do rana, bez żadnych koszmarów. Ale rano, w świetle dnia, wstydząc się swych łez, znowu osłonił się ochronnym pancerzem i przybrał bezpieczną maskę obojętności, która tak dobrze służyła mu przez minione miesiące. Bo teraz powinien skoncentrować się tylko na jednym. Na tym, żeby dopaść Hellera. Nie miał nic do zaofiarowania tej kobiecie. Nie potrafił się zdobyć nawet na uśmiech.

- Czy ma pani lokalną mapę? - spytał.

- Mam. - Wren podeszła do antycznej gabloty w rogu i wyciągnęła złożony w kilkoro arkusik. - To jest mapa Teksasu.

- Nie, nie. Mnie chodzi o tutejszą okolicę. Zamyśliła się.

- Powinam gdzieś mieć. - Wróciła do gabloty i po chwili podała mu mapę. - Jest.

SAMOTNI KOCHANKOWIE

- Dziękuję.

- Głupstwo. Ale teraz proszę... - Wskazała w kierunku kuchni.

Szła pierwsza, on wstał z ociąganiem, ale posłusznie poszedł za nią. W drzwiach stanął zaskoczony. Stół był przykryty obrusem w zielono-czerwony wzór z betlejemską szopką pośrodku. Takim obrusem, z takim samym deseniem, Maggie nakrywała zawsze stół do świątecznego posiłku. Z uśmiechem, szerokim gestem ręki zaprosiła Keegana do stołu. Usiadł, odwracając głowę od stajenki i Jezusa. Czuł się niesłychanie głupio i nagle stracił apetyt, choć rano obudził się bardzo głodny.

Wren położyła mu na talerzu pieczone jabłko z cynamonem. Zaczął je dziobać widelcem, myślami błądząc daleko. Z grzeczności wmusił w siebie połowę jabłka. Potem zabrał się do studiowania mapy okolicy. Szybko odkrył, że farma Wren graniczy z drogą, przy której mieszkał Heller. Wspaniale! Najwyżej trzy kilometry do domu Hellera seniora. Podniecony odsunął talerz. Chciał czym'prędzej wyjść na świeże powietrze, pospacerować i w czasie spaceru obmyślić plan.

- Już po porannym udoju? - spytał.

- Jeszcze nie. Ale zaraz idę.

- Ja to zrobię - oświadczył. Pragnął jak najszybciej opuścić tę domową atmosferę, która nie sprzyjała obmyślaniu planu zniszczenia Connora Hellera. Ten przeklęty obrus osłabia w nim wolę czynienia bliźniemu zła. A on musi wyrządzić zło komuś, kto zniszczył mu życie.

SAMOTNI KOCHANKOWIE

83

- Da pan sobie radę? Nie jest pan zbyt słaby? Jeszcze wczoraj miał pan wysoką gorączkę...
Dlaczego ona tak się o niego troszczy? Jej opiekuńczość zaczęła go denerwować. Nie potrzebował tego, bo nie chciał zapragnąć nagle troszczyć się o nią.

- Czuję się bardzo dobrze - odpowiedział niemal opryskliwie, wstając i odpychając krzesło.

- Chwileczkę! - powstrzymała go. - Przyniosę panu płaszcz mojego ojca. Jest cieplejszy niż pańska skórzana kurtka.

Zrezygnowany czekał, aż wróciła z watowanym paltem i parą ciepłych rękawiczek. Ubrał się w milczeniu.

- I niech pan uważa. Stopnie są na pewno oblodzone. Można się łatwo pośliznąć.

Nic nie mówiąc, odszedł szybkim krokiem, by uniknąć roztkliwień. Ta kobieta zaczęła mu być zbyt bliska. A on zamierzał stąd wkrótce odejść. Nie ma sensu wzmacniać więzów, które zaczynały ich łączyć. Popęłnił też błąd, rzucając na nią spojrzenie przed wyjściem. Ujrzał wlepione w siebie smutne oczy. Zrobiło mu się wstyd własnego postępowania. Bardzo ją dotknie swoim odejściem.

Wren wyrzuciła do kubła z odpadkami resztki jego śniadania. Miała ochotę się rozplakać. Uratowało ją kilka głębokich oddechów. Dlaczego ona poddaje się emocjom? Tylko dlatego, że tak mało zjadł? Przecież to nie jest krytyka jej kulinarnych zdolności. Po prostu nie był głodny.

Wcale jej to nie uspokoiło. Natychmiast znalazła nowy powód do zmartwienia: nie podobały mu się dekoracje

SAMOTNI KOCHANKOWIE

święteczne. A co powie o swetrze? Tej nocy nie zmrużyła oka. Całą noc szydełkowała. I skończyła o świcie.

Instynktownie czuła, że Keegan ją odrzuca. Nie ją, Waren, ale ją jako człowieka, który chce się do niego zbliżyć, oferując pomoc. Chciał zostać sam, bez zobowiązań wobec kogokolwiek, jakby od tego zależało spełnienie celu, jaki sobie wytknął w swoim zagadkowym życiu. Jaki cel? A gdyby nawet nie dlatego ją odrzucał, no to co? Dlaczego jej tak zależy na tym, jak się Keegan do niej odnosi i co o niej myśli? Bo... pragnęła mu pomóc... chciała być osobą, która mu pomogła wyjść na prostą drogę życia. Dotychczas reakcja Keegana na jej wszystkie wysiłki była raczej nikła.

Rozczarowująca. Czy miała prawo oczekiwać czegoś więcej? Dlaczego to niby Keegan miałby nagle zmienić swoje zachowanie i zapomnieć o celu, który go tu sprowadził... tylko po to, by wtopić się w narzucany przez nią nastrój świąteczny?

Mimo tych logicznych wniosków postanowiła nie rezygnować. Nie знаła nikogo, kto bardziej zasługiwałby na bożonarodzeniowy cud. Nie znała tajemnicy, jaką w sobie nosi Keegan, nie znała też źródła jego bólu, ale widziała fotografię, która wyleciała z torby, a ta fotografia wiele jej powiedziała. Wyraźnie określiła, kim on jest, kim był i kim mógłby ponownie zostać. Dobrym ojcem rodziny.

Wyjęła ręce z miski, w której zmywała naczynia, i wyciągając je w kierunku szarego nieba, wygłosiła słowa:

- Dobry Boże, wyprowadź Keegana z ciemności w jasność...

Intensywność tej modlitwy była tak wielka, że Wren poczuła się lepiej. Bóg musi tego wysłuchać. Musi!

SAMOTNI KOCHANKOWIE

85

Po raz pierwszy od wielu lat nadzieja zagościła w jej sercu.

Wyszedłszy na dwór, Keegan zaczerpnął haust rześkiego, zimnego powietrza. Poczuł ból w klatce piersiowej. Zmartwiło go to. Nie był w dobrej formie. Ale teraz nie wolno mu o tym myśleć. Nie wolno mu zapominać, kim jest, i po co przybył do Teksasu. Nie spocznie, póki nie ujrzy Hellera ponownie za kratkami. Nie ma czasu na żadne wigilijne wieczerze w towarzystwie tej wspaniałej młodej kobiety. Gdyby sobie pozwolił na podobny luksus, zdradziłby pamięć Maggie. Śmierć żony musi zostać pomszczona i póki to się nie stanie, on, Keegan, nie ma prawa do własnego życia.

Jeśli idzie o Wren Matthews, wprost przerażające było to, że jej bliskość, słowa i uczynki kazały mu marzyć o spokojnym, bogobojnym życiu. Dopóki jej nie spotkał, był pewien, że wszelkie nadzieje zgasły wraz ze śmiercią Maggie i Kate. Że nic dobrego już go w życiu nie czeka. A teraz wzbierał w nim niepokój, ponieważ zaczynał wyraźnie mięknać. Jeszcze nie, jeszcze nie teraz...

Powiedział więc do siebie tonem nie znoszącym sprzeciwu: Skoncentruj się. Myśl o Hellerze.

Ciekawe, czy Heller przyjechał na święta do ojca. Con-nora Hellera i jego brata, Victora, wychowała matka w Chicago, ale urodzili się w Teksasie. Ojciec Connora nadal mieszkał w Stephenville, niedaleko farmy Wren. Niemal w zasięgu karzącej ręki Keegana. Dotychczas nie udało mu się dopaść Connora Hellera. I nie uda, dopóki pogoda się nie poprawi. I dopóki nie poprawi się stan jego

SAMOTNI KOCHANKOWIE

zdrowia. Miał nadzieję, że zła -pogoda zatrzyma Hellera w domu, podobnie jak jego zatrzymuje na tej farmie.

Connor Heller nie jest głupi i nie pokaże się na oczach wszystkich w posiadłości ojca. Jest przebiegły. W ciągu minionych miesięcy umknął już Keeganowi kilka razy. Ale tym razem to mu się nie uda. Potrzebny jest dobry plan... coś, co wywabi Connora Hellera z ukrycia.

Keegan pchnął drzwi obory i wszedł. W oborze było bardzo zimno. Zrezygnowane krowy nie muczały, ale leżały ponure w sianie. Grzejniki musiały być wyłączone. Wren zajęta swą misją opiekuńczą, czyli obsługiwaniem Keegana, zapomniała o ich włączeniu. A może pojemnik gazu był pusty? Podszedł do pokręteł na tablicy rozdzielczej i stwierdził, że zawory są otwarte. Zamknął je. Miał rację, przypuszczając, że zabrakło gazu. Rozejrzał się po oborze. Wszystko wymaga tu remontu i gruntownych przeróbek. Boksy, pomieszczenia, system grzewczy, sieć elektryczna, a także automatyczne dojarki, które nadawały się do wymiany. Były stare i mało wydajne. Przeciekał także dach, a na ścianach widać było pleśń.

Z siedemnastoma krowami, mimo że były to holsteiny, trudno jest związać koniec z końcem. Wren sama, do tego kulejąca, nie była zdolna dopilnować wszystkiego. Potrzebny tu był silny mężczyzna, ale go nie ma i Keegan zastanawiał się, po co właściwie Wren tak kurczowo trzyma się tej farmy. Lepiej byłoby skończyć z produkcją mleka, bo przecież teraz chyba do niej dokłada. Ale z czego? I z czego ona żyje?

Zastanawiając się nad tym, co zobaczył, przeczesał włosy palcami i trafił na guz na potylicy. Syknął z bólu.

SAMOTNI KOCHANKOWIE

87

Nie miał czasu na rozwiązywanie problemów Wren. Ma swój własny problem do rozwiązania. Przez najbliższe godziny pomoże jej w czym będzie mógł, a potem to już jej zmartwienie. On ma swoje, nie mniejsze.

Wyszedł na dwór i obszedł oborę w poszukiwaniu miejsca, gdzie umieszczone były zbiorniki lub butle z gazem. Za oborą zobaczył platformę z dwiema butlami. Miał nadzieję, że jedna jest pełna. Nie omylił się. Przełączył sieć z pustej na pełną i ruszył z powrotem do obory. Idąc, zobaczył coś, co go zaniepokoiło. Świeże ślady w zlodowaciałej pokrywie śniegu pod linią drzew na skraju posiadłości Wren. Gdyby nie miał sokolego wzroku i gdyby nie rozglądał się ciekawie, toby ich nie zauważył, gdyż znajdowały się w odległości kilkunastu metrów od ścieżki, którą szedł.

Ruszył w stronę drzew i pochylił się nad najbliższymi śladami. Duże. Co najmniej czterdzieści cztery. Włosy zjeżyły mu się na głowie. Heller nosił czterdzieści pięć! Hola, hola, panie Winslow! Niech pan nie wyciąga pochopnych wniosków, skarcił się. Skąd wziąłby się tu Heller? Nie jest jasnowidzem.

Keegan ruszył za śladami i stwierdził, że prowadzą przez podwórze i skręcają w kierunku okna saloniku Wren. Nie ulega wątpliwości, że w nocy był tu jakiś podglądacz.

Wpadł w szewską pasję. Kto szpieguje Wren? Kto zamierza wyrządzić krzywdę tej kobiecie? Jaki podlec? Dlaczego? Był do głębi przejęty, jakby chodziło o kogoś bardzo mu bliskiego i drogiego... Prawie się zachłusnął. A może tak właśnie jest? Jednocześnie poczuł ukłucie

SAMOTNI KOCHANKOWIE

zazdrości. Może Wren ma adoratora zbyt nieśmiałego, by otwarcie wyznać miłość? Nie, jest jeszcze gorzej: to jest ktoś, kto wie, że ona mieszka sama i jest łatwą ofiarą...

To ostanie było zupełnie prawdopodobne. Na myśl, że ktoś podgląda Wren, zacisnął pięści.

Zawrócił i poszedł w przeciwnym kierunku, do drzew, aby zobaczyć, gdzie ślady się zaczynają.

Między drzewami kilka razy zgubił ślad, gdyż nie było warstwy zlodowaciałego śniegu, tylko gruba warstwa jesiennych liści. Uszedł kilkaset metrów, gdy nagle poczuł, że trudno mu oddychać.

Zaskoczył go też szczekający kaszel, którego nie mógł powstrzymać. Po paru minutach, gdy trochę odpoczął na leżącym na ziemi pniaku, ruszył dalej. Ale nogi trzęsły się pod nim. Zastanawiał się, co robić: iść dalej czy wrócić i pomóc Wren w zakładaniu i uruchamianiu automatycznych dojarek.

Coś mu podszeptywało, że w tej sytuacji nie powinien Wren zostawiać samej. A co będzie, jeśli podglądacz powróci i okaże się kimś gorszym niż podglądaczem?

Przypomniał sobie inny czas i inne miejsce, kiedy zostawił kobietę samą, wtedy kiedy nie powinien tego robić. Maggie!

Zdecydował, że wróci, by powiedzieć Wren, iż obora była zimna, a zbiornik gazu pusty. Nie, najpierw włączy ogrzewanie w oborze, potem pójdzie do Wren, a następnie wróci wydoić krowy.

Zadowolony z planu ruszył żwawym krokiem do obory, włączył gazowe ogrzewanie i poszedł do domu. Zapukał, ale nie czekając na zaproszenie, wszedł do kuchni. Była pusta. Zaniepokoił się, zwłaszcza że z saloniku dobiegły go jakieś dziwne odgłosy. Pobiegł tam, z hałasem otworzył drzwi i stanął jak wryty, a po sekun-

SAMOTNI KOCHANKOWIE

89

dzie wybuchnął śmiechem. Z pewnością po raz pierwszy od półtora roku. Wren na cały głos śpiewała kolędę. Nie, nie śpiewała, ale w przeraźliwy sposób fałszowała. Śmiał się jednak nie z tego powodu. Po prostu odkrył kolejne podobieństwo Maggie i Wren. Maggie też nie śpiewała lepiej. Co tu gadać, obie beczwały niczym barany.

Nagle przestał się śmiać. Maggie! Nie wolno mu porównywać ją z Maggie! Nie wolno kłaść pamięci żony.

Wren nie słyszała jego śmiechu, bo zagłuszała go swoim śpiewaniem. I nie zauważyła go, gdyż odwrócona tyłem stała wysoko na drabinie, usiłując na czubku mizernej choinki umieścić olbrzymiego anioła z tektury.

Żeby tylko nie spadła, pomyślał.

Nie spadła, ale obróciła się profilem i ujrzała Keegana. Na jej twarzy pojawił się uśmiech zadowolenia. I dopiero wtedy straciła równowagę. Drabina się zachybotła, anioł wypadł jej z ręki, Wren krzyknęła, więc Keegan podskoczył do niej z wyciągniętymi ramionami.

No, i na szczęście zdążył. Wren spadła mu prosto w ramiona. Patrzył na nią głupawo, a ona na niego, z szeroko otwartymi oczami, jakby chciała zapamiętać rysy jego twarzy. Keegan zaś jak zafascynowany wpatrywał się w oczy Wren.

Zamrugła nerwowo, potem kilka razy z trudem przełknęła ślinę.

Keegan trzymał Wren kurczowo, jakby się bał, że wypadnie mu z rąk i rozbije się o ziemię.

Przestrzeń między ich ustami malała. Czuł żar jej piersi, wdychał zapach włosów. Nie spodziewał się, że jej bliskość tak silnie na niego podziała.

SAMOTNI KOCHANKOWIE

Wren patrzyła czule, z nową nadzieją na spełnienie wyśnionych marzeń.

Jaka ona jest ładna, pomyślał Keegan.

Jaki on jest męski, pomyślała Wren.

Ona nie powinna mi ufać, zdecydował Keegan. Maggie zaufała mi i przegrała życie. Nie mam nic do zaofiarowania Wren Matthews. Nie mam nic do dania. Nic oprócz łez, gorzycy i zemsty.

Przestrzeń między ustami obojga przestała maleć, a następnie zaczęła powoli rosnąć.

Keegan zdecydował, że musi zdusić w sobie te wybuchy pożądania, jakie odczuwał, ilekroć był w pobliżu tej kobiety.

Wren spostrzegła zmianę w wyrazie jego twarzy. Lekki uśmiech, jaki okalał jej usta, przemienił się w grymas rozczarowania.

Keegan nagle zrozumiał, że mimo walki, jaką toczy ze sobą, by przestać myśleć o tej kobiecie, mimo ciężaru bolesnych wspomnień i mimo obowiązku pomszczenia Maggie i Kate, Wren coś w nim obudziła. Coś, czego nie spodziewał się zaznać w życiu po raz drugi. I załóżmy nawet, że się podda, że ulegnie, że zaryzykuje, to kto mu zaręczy, że potrafi chronić tę kobietę lepiej, niż chronił Maggie? Głęboko się nad tym zamyślił.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Czy byłby pan łaskaw odstawić mnie na ziemię? - spytała Wren, chcąc żartobliwie zamaskować targające nią i najprawdopodobniej ujawniające się na twarzy uczucia. Jej serce waliło jak młotem i miała wrażenie, że cała dygoce.

W pierwszej chwili Keegan nie zareagował i nadal patrzył na nią jak zahipnotyzowany.

On chyba gdzieś poszybował w swoich myślach, domyśliła się. A może ma te same grzeszne pragnienia co ja? Może... To by było cudowne, gdyby pragnął mnie tak samo jak ja jego... Mrzonki, Wren Matthews! Przestań wreszcie bujać w obłokach, które sobie sama ściągnęłaś nie wiadomo skąd.

Musiała powtórzyć prośbę, nim wreszcie ją spełnił.

Postawił Wren i natychmiast natarł:

- Nie wolno robić takich rzeczy. Nie można tak wysoko wchodzić na delikatną drabinę.

Te słowa podziałały na Wren jak kubek zimnej wody. Dowodziły, że Keegan wcale nie myślał o tym samym, co ona. Ale właściwie nie powinna się dziwić. Skąd jej przyszło do głowy, że Keegan mógłby pożądać jakiejś kaleki?

- Nie miałam nikogo do pomocy. Ty byłeś w oborze. Keegan udawał, że przejście na ty było w tej sytuacji

SAMOTNI KOCHANKOWIE

rzeczą naturalną i nie wymaga komentarza. Zrewanżował się tym samym, czym jednak wywołał u niej rumieniec.

- Mogłaś poczekać.

- Miałam wrażenie, że świąteczne dekoracje cię nie interesują...

- Powiedziałem ci, co sędzę o świątach, nie mniej wolę, byś przy ich okazji nie skręciła sobie karku. Powiedział to tonem, który wzbudził w niej wielkie emocje. Może jednak rzeczywiście zależy mu na niej?

- Przepraszam - powiedziała potulnie.

- Nie rób tego więcej!

Pochylił się i podniósł kartonowego anioła, a przy okazji otrzepał z kurzu rąbek jej spódnicy. Potem stanął na palcach i bez drabiny umieścił anioła prawie na samym czubku choinki.

- Tak jest dobrze? - spytał.

- Doskonale. Dziękuję.

- Teraz muszę wrócić do obory i wydoić krowy. Był mały problem...

- Jaki problem? - Zaniepokoiła się.

- Obora była nie ogrzana, bo zabrakło butanu. Musiałem przełączyć na drugą butlę.

- O Boże! Zamierzałam zamówić butan, ale płacą mi dopiero po świątach. Niestety, taki jest los nauczycielki, otrzymującej pensję co miesiąc. Dostanę ją dopiero po Bożym Narodzeniu.

- Jesteś nauczycielką?

- Uczę literatury angielskiej w liceum.

- Oo! Z tym mi szło najgorzej. Wolałem matematykę. Wreer była świadoma, jak bardzo zacieśniły się ich sto-

SAMOTNI KOCHANKOWIE

93

sunki. Coraz więcej dowiadywali się o sobie. Bardzo ją to cieszyło.

- A ja nie pracuję już w policji - powiedział.

Wren na końcu języka miała pytanie, dlaczego nie, ale się powstrzymała w obawie, że jego odpowiedź może ujawnić, iż robi coś niezgodnego z prawem. Zamiast tego zaproponowała:

- Pomogę ci w dojeniu krów. Tylko się ubiorę... Idąc po okrycie, pomyślała, że Keegan błyskawicznie

powraca do siebie. Potwierdziło to przejście z domu do obory. Keegan szedł szybciej i pewniej od niej. Wiatr ucichł i dopiero w oborze powitał ich okropny harmider. Krowy muczały na wypródki. Niestety, nie była to jedyna nieprzyjemność, jaka ich czekała. Otóż krowy nie dlatego tak rozpaczliwie ryczały, że nosiły zbyt wiele mleka, ale z powodu niespodziewanego prysznic. Pękła rura biegnąca wzdłuż całej obory i potoki wody spod sufitu lały się na biedne zwierzęta. Wren stanęła jak wryta i otworzyła szeroko usta, zupełnie nie wiedząc, co robić.

- Gdzie jest główny zawór wodny? - spytał Keegan. Obracając się, Wren trafiła prosto pod strumień chlustającej wody, który powalił ją na ziemię.

Keegan dopadł ją w mgnieniu oka i odciągnął na bok, a następnie postawił na nogi.

- Wszystko w porządku?

- Tak, w porządku - odparła, szcękając zębami.

- Zawór! Gdzie jest zawór?

- Dostępny z górki.

Poprowadził ją do schodów. Po drodze musieli omijać miejsca obficie zraszane wodą.

SAMOTNI KOCHANKOWIE

- To z powodu braku ogrzewania. Kiedy byłem tu wcześniej, wszystko wydawało się w porządku, bo woda w rurach była zamrznięta. Potem włączyłem grzejniki, no i stało się.

Keegan szedł schodami pierwszy, Wren tuż za nim. Patrząc na sylwetkę mężczyzny, nie mogła opędzić się od zdrożnych myśli.

- Co za ruina! - stwierdziła, by wygasić emocje.

- Nie martw się. Pomogę ci doprowadzić wszystko do porządku - obiecał, obracając głowę w jej kierunku.

Słowa te jeszcze bardziej ją podnieciły, gdyż zapowiadały jego dłuższy pobyt.

- Bardzo się cieszę, że jesteś tu ze mną - odparła cicho. - Nie wiem, co bym zrobiła bez ciebie.

Zatrzymał się na ostatnim stopniu i obrócił ku niej. Długo przypatrywali się sobie w milczeniu. I podczas tej chwili wiele sobie wzrokiem powiedzieli.

Gdy weszli na strych, Wren wskazała Keeganowi węzeł wodny. Poszedł zobaczyć, jak wygląda sytuacja. Na szczęście zamrznięta woda nie rozsadziła tego kawałka rury i z łatwością mógł zamknąć zawór.

- Gotowe. Wracamy - obwieścił.

Powrócili na dół, gdzie było już ciszej. Krowy uspokajały się, bo woda przestała lać im się na łby.

I nagle, jakby inspirowani tym samym wewnętrznym nakazem, Keegan i Wren spojrzeli na siebie i wykrzyknęli:

- Wesółych Świąt!

- Wesółych Świąt!

I jednocześnie uśmiechnęli się.

Ten uśmiech Keegana miał dla Wren wartość drogo-

SAMOTNI KOCHANKOWIE

95

cennego prezentu. Zapomniała o tym, że pękła rura, że krowy są mokre, że ona jest oblana i że siano zamokło. Jakby zza ciemnych chmur wyszło słońce. Głośno się roześmiała.

- Tu nie ma nic śmiesznego - powiedział Keegan, rozglądając się znacząco po oborze.

- Jest, jest! Wszystko zrobiło się śmieszne - zaprzeczyła.

- Ma pani spaczone poczucie humoru, panno Matthews - powiedział bardzo poważnie, ale w oczach tańczyły mu wesołe iskierki.

Po raz pierwszy widziała go takim. I taki właśnie był na fotografii, którą znalazła: ludzki, ciepły, promieniejący radością życia.

Nagle w jego oczach pojawiło się coś w rodzaju strachu. Właśnie pomyślał, że to tylko sen i że za chwilę się obudzi, a rzeczywistość okaże się okrutna.

- Gdzie znajdę jakieś narzędzia? - spytał, siłąc się na obojętność.

- W komórce. Trzymam tam narzędzia i stary sprzęt... Zaraz pokażę...

Co się stało? Co nagle zniszczyło tę cudowną chwilę? Myślała o tym, gdy w komórce wyszukiwali odpowiednich narzędzi, łączników i kolanek, które mogłyby przydać się przy reperowaniu rury wodociągowej. Czy uda się jej jeszcze raz wywołać podobny uśmiech i podobny wyraz twarzy Keegana? Jakie to demony go dręczą? Popuściły tylko na krótką chwilę... Muszą to być potężne demony.

- Jest tu gdzieś lampa spawalnicza? Lutownica?

- Co takiego?

SAMOTNI KOCHANKOWIE

- Takie urządzenie spawalnicze domowego użytku. Trzeba wpasować nowy kawałek rury. Rura na szczęście jest, ale trzeba ją przyspawać do starych rur, żeby wytrzymała przez święta. Potem poszuka się zestawu rur w sklepie hydraulicznym.

- Teraz sobie przypominam... lampa lutownicza... Powinna tu gdzieś być. Bardzo dawno temu pokazywano mi taki jakiś palnik ze zbiorniczkiem i pompką. To pewno to...

- Chyba tak.

Keegan obejrzał lampę lutowniczą i powiedział, że może coś da się z nią zrobić.

Był to najwidoczniej dzień zarówno złych, jak i dobrych wydarzeń, gdyż Keeganowi udało się usunąć awarię w oborze i krowy miały zagwarantowaną wodę na święta. Przez cały czas Wren towarzyszyła Keeganowi, ciekawie przyglądając się, a czasem i pomagając. Ponieważ reperacja trwała ponad cztery godziny, trudno było zachować przez cały czas milczenie. Zarówno Keegan, jak i Wren, wykorzystali tę okazję, by dowiedzieć się czegoś więcej o sobie i swoich rodzinach.

- Twoi dziadkowie mieli duże gospodarstwo mleczne? - spytała Wren.

- Około stu pięćdziesięciu krów. Głównie rasy jersey.

- Bardzo je lubię. Są łagodniejsze od hosteinów i mniej uparte.

- A poza tym dużo mądrzejsze. Jak często oddajesz mleko?

- Mam maleńką farmę, mleczarnia zabiera mój udój raz na tydzień, we wtorki.

SAMOTNI KOCHANKOWIE

97

Jak to miło prowadzić rozmowę na temat, który ich oboje interesuje, pomyślała.

- Mogę ci zadać osobiste pytanie? Skinęła głową.

- Po co ci te krowy? Przecież ty do nich dokładasz?

- Ta farma jest w naszej rodzinie od trzech pokoleń. A co się stało z farmą twoich dziadków? Nadal jest w rodzinie?

- O nie! Mój ojciec był jedynakiem i nienawidził mleczarstwa. Po śmierci dziadka natychmiast sprzedał farmę.

- A ja sobie nie wyobrażam, żebym mogła to miejsce opuścić. Tu jest moje życie. Tu są moje korzenie. Wiem, że mam ciężką pracę, ale właściwie to nie wyobrażam sobie istnienia bez niej.

- Czasami się zastanawiam, czy gdybym był starszy, wtedy kiedy umarł dziadek, to czy nie odkupiłbym farmy od spadkobiercy, czyli mojego ojca... Jakież inne miałbym wtedy życie. - Aż się zaczerwienił ze wzruszenia, a może żalu.

Wren wyciągnęła dłoń, by dotknąć jego ramienia i wyrazić tym gestem współczucie, ale on szybko się odsunął.

- No, to do roboty! - powiedział sucho i już w milczeniu pracowali do końca.

Chwila szczerości i zwierzeń minęła.

Gdy skończyli, wrócili do domu, w holu zdjęli wierzchnie okrycia, a zabłocone obuwie postawili na specjalnie rozłożonej gazecie.

- Dziękuję za pomoc - powiedziała Wren. - Panie Winslow... - zaczęła.

- Panie? Tak formalnie?

SAMOTNI KOCHANKOWIE

- Mam bardzo formalne pytanie.

- Słucham? - Uniósł brwi.

- Mówił pan, że tylko chwilowo przebywa pan w tej okolicy, ale wspomniał pan również, że nie ma pan już swojej pracy... - Bardzo ciężko przychodziło jej powiedzieć to, co chciała. Bała się popełnić błąd. - Gdyby pan jednak zamierzał pozostać dłużej w Stephenville...

- Może jednak skończysz z tymi panami, Wren!

- Chciałam powiedzieć, że zawsze jest tu dla ciebie miejsce - dokończyła szybko.

Oczy mu zabłyśły, coś w nim drgnęło. Czy dobrze zrozumiał? Co ona mu proponuje?

- Chciałam powiedzieć, że jeśli... jeśli... - Język jej się plątał. - Ze gdybyś zamierzał przestać... gdybyś już nie chciał być wędrowcem, tylko się osiedlić na stałe... - Boże drogi, co ona plecie?

- O co ci chodzi, Wren? Przełknęła i wypaliła:

- Panie Winslow, czy nie zechciałby pan u mnie pracować?

Zaczęła się trząść jak galareta. Keegan to widział i zrozumiał, że ma do czynienia z kobietą wyjątkowo nieśmiałą, którą wiele musiało kosztować powiedzenie tego, co powiedziała.

Zastanawiał się, co by jej bardziej ulżyło? Odpowiedź tak czy nie? Wzruszył ramionami.

- Nie chcę odpowiedzi od razu, proszę się zastanowić... Chodzi mi o to, żeby pan rozpatrzył tę propozycję...

Ona marzy o tym, żeby tu został, pomyślał. I jak tu odmówić takiej słodkiej kobiecie?

SAMOTNI KOCHANKOWIE

99

- Mógłby pan zamieszkać w tym pokoiku nad oborą - ciągnęła. - Urządzi się go lepiej... - W zdenerwowaniu nawijała na palec skraj bluzki.

To wstrząsnęło Keeganem: Maggie robiła dokładnie to samo. Boże, jaka ona jest pod wieloma względami podobna do Maggie! Te same reakcje, ten sam gust, no i to samo emanujące z niej ciepło... Ogarnęło go dziwne uczucie. Przecież właściwie nic nie kosztowałyby go powiedzieć Wren tak. Jakąż sprawiłoby jej to radość. A sprawienie radości takiej kobiecie to przecież przyjemność... Tylko że... Od śmierci Maggie i Kate upłynęło zaledwie osiemnaście miesięcy, a on interesuje się już inną kobietą...

- Wiele nie mogę płacić. Właściwie nic. Daję dach nad głową i wyżywienie - przerwała tok jego myśli Wren.

Musiał przyznać, że Wren Matthews bardzo go obchodziła. Nie, nie jako kobieta, ale jako niesłychanie wartościowa osoba. I to jest chyba błąd.

Dotychczas przy życiu utrzymywała go tylko żądza zemsty. Pokarmem była nienawiść i ciągle gorejący gniew. Ciekawe, co by powiedzieli jego dawni koledzy, gdyby to teraz widzieli? Czy byliby dumni, że nie zaprzestaje polowania na Hellera? Czy też zgorszeni, że tak nisko upadł, pozwalając, by niskie instynkty zżerały mu duszę. Chyba jednak jako dobrzy policjanci w tym złym świecie chwaliliby determinację.

Prawda była taka, że gdyby podczas nalotu na gang handlarzy narkotyków, nie zastrzelił w samoobronie Victora Hellera, to Connor Heller nie wybrałby go sobie za cel, zgodnie z zasadą oko za oko, ząb za ząb.

SAMOTNI KOCHANKOWIE

Keegana ogarnęło bardzo nieprzyjemne uczucie. Ni to poczucie winy, ni żal, ni wyrzuty sumienia, a może wszystko razem. Nawet nie zdawał sobie sprawy, że stoi teraz naprzeciwko Wren, że ona wpatruje się w niego z niepokojem, jakby widziała, że dzieje się z nim coś niedobrego. I działa się. Przebiegał myślami wszystkie fakty z przeszłości, ale one zaczynały mieć zupełnie inną wymowę, inną barwę.

Policja aresztowała Hellera, gdy Keegan był jeszcze w szpitalu. Proces Connora Hellera odbył się szybko i sprawnie. Keegan składał zeznania, siedząc na wózku inwalidzkim, cały w bandażach. Za żadne skarby nie opuściłby ogłoszenia wyroku na mordercę. Heller otrzymał dożywocie. Policyjni przyjaciele Keegana uczynili wszystko, by dobrze przygotować sprawę.

Ale wkrótce Connor Heller uciekł z więzienia. Trzepnął w głowę strażnika, przebrał się w jego mundur i wyszedł frontową bramą. Wtedy to Keegan postanowił nie wracać do policyjnej służby, choć jego przełożeni gorąco go do tego namawiali.

Keegan wiedział, że już nigdy nie będzie policjantem. Nie miał siły patrzeć, jak giną ludzie, których prześladowcy umykają wymiarowi sprawiedliwości.

Zacisnął pięści i wlepił błędne spojrzenie w przestrzeń.

- Przed czym ty uciekasz, Keegan? - spytała cicho Wren.

- Nie uciekam przed niczym - odparł martwym głosem.

- No, to dlaczego nie miałbyś tu zostać?

Nie odpowiedział od razu, gdyż jego myśli poszybowały do tamtej nocy. Popęłnił wówczas straszny, niewy-

SAMOTNI KOCHANKOWIE

101

baczalny błąd. Powinien był zostać w domu, nie opuszczać Maggie i Kate. Powinien był je ocalić albo wraz z nimi umrzeć. Ale pracował po godzinach. Bardziej pochłaniała go praca niż troska o rodzinę.

Poczerwieniał i zaczął się dusić. Miał wrażenie, że oczy wychodzą mu z orbit.

- Keegan! - Wren była przerażona. - Czy powiedziałam coś nie tak?

Potrząsnął przecząco głową.

- Nie, nie. Absolutnie nic. - Nie wolno mu przerażać Wren. Opanuj się, człowieku!

Nieśmiało położyła dłoń na ramieniu mężczyzny.

- Chyba rozumiem. To musiało być okropne... Opowiedz mi!

- Nie! - Zesztywniał i cofnął się o krok. - Nie gniewaj się na mnie, Wren. Nie chcę cię w to mieszać.

- Jak sobie życzysz.

Była zrezygnowana. Keegan wydawał się w tej chwili równie ponury i groźny, jak wtedy, gdy zapukał do jej drzwi w czasie śnieżnej burzy i prosił o pomoc. Nie było sensu próbować go uspokajać. Było to równie beznadziejne jak próba oswojenia wilka. Niemniej powiedziała:

- Powinieneś o tym z kimś porozmawiać, a nie dusić wszystko w sobie.

- Nie mów mi, co mam robić! - krzyknął nagle. - Nie jesteś moją żoną. Nie waż się nic mi radzić.

Zrozumiałaś?

Bez słowa odwróciła się na pięcie i odeszła. Z oczu skapnęło jej kilka łez.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Keegan zawstydził się swojego wybuchu. Szybkim krokiem ruszył za Wren i zastał ją w saloniku, gdzie stała przed oknem, patrząc na podwórze.

- Przepraszam - wyszeptał.

- Co się stało? W oborze byłeś taki chętny do pomocy, taki... niemal przyjazny. Czy powiedziałam lub zrobiłam coś złego? - spytała.

- Popełniłaś kardynalny błąd. Wzięłaś mnie za kogoś miłego.

- Nie zrobiłam błędu. Jesteś miły i dobry.

- Po prostu to sobie ubrdałaś.

To były okrutne słowa, ale w oczach mężczyzny zobaczyła przerażenie. Wyglądał jak dziecko, które znalazło się w domu sierot, a przecież jeszcze wczoraj miało rodziców, własny dom.

Wren zdała sobie sprawę, że tak naprawdę to nie na nią krzyczał, ale wykrzykiwał swój okropny ból. Rozumiała to, ale rozumieć to jedno, a znaleźć lekarstwo - drugie. Nie była psychologiem i nie wiedziała, jak mogłaby pomóc. Gdyby była mądra, to spakowałaby jego rzeczy i wysłała go w drogę. Niech sobie idzie. Ale z jakiegoś niewiadomego jej samej powodu nie potrafiła z niego zrezygnować.

SAMOTNI KOCHANKOWIE

103

- Pod pancierzem tego twardziela kryje się zupełnie przyzwoity człowiek - stwierdziła. - I od czasu do czasu ten człowiek się ujawnia.
- Skąd to możesz wiedzieć? - zapytał zaczepnym tonem.
- Widzę, obserwuję. Patrzę, jak sam ze sobą toczysz walkę. Nie potrafisz ukrywać uczuć. Jesteś właściwie przejrzysty.
- Wmawiasz sobie jakieś romantyczne bzdury.
- Nic sobie nie wmawiam. Mam instynkt, umiem oceniać ludzi.
- Czyżby? Jesteś tak doskonałym obserwatorem i masz tak nieomylny instynkt, że zawsze wiesz, z kim masz do czynienia? Czy przypadkiem i ty nie zaufałaś niewłaściwemu mężczyźnie, panno Wren Matthews?

Wren oczywiście natychmiast pomyślała o Thomasie. Tak, tak, zaufała Blaine'owi, a nie powinna. Ale wówczas czuła się taka samotna, że chyba zaufałaaby diabłu. Tak bardzo chciała wierzyć temu, że Blaine ją kocha... Niestety, wtedy nie skorzystała ze swojego instynktu, ale dała się zmylić pozorom. Instynkt podpowiadał jej, że Blaine jest zbyt gładki, zbyt miły, uступliwy i zbyt chętnie planuje życie wokół niej. Zapłaciła wysoką cenę za zignorowanie głosu rozsądku. Ale obecnie ten sam niezawodny instynkt przyciągał ją do Keegana.

- Nie ulega wątpliwości, że coś każe ci zachowywać się w taki, a nie inny sposób - powiedziała. - W przeszłości przytrafiło ci się coś okropnego. Nie chcesz mi o tym powiedzieć, to nie mów. Ale to jest mój dom i dziś jest Wigilia. Nie pozwolę, żebyś na mnie krzyczał.

SAMOTNI KOCHANKOWIE

- Już powiedziałem, że przepraszam. A tak na marginesie: zasługujesz na lepszego kompana niż ja.

- Przepraszam przyjęte, a na kogo zasługuję, to już ja sama zdecyduję.

Keegan pokiwał głową i poszedł do łazienki umyć się po robocie. Zdumiewał go spokój i opanowanie Wren. Inne kobiety uciekałyby od niego, gdzie pieprz rośnie. Tylko Maggie była taka jak Wren. Maggie nie znosiła starć i zawsze znajdowała wyjście z napiętych, groźących burzą sytuacji. I miała do niego dużo cierpliwości, tak jak teraz Wren. Maggie zawsze spełniała każde jego życzenie. Od samego początku jej życiowa niewinność go fascynowała. Wren była podobna. Ale Wren uczyniła jeszcze coś więcej. Odparła jego brutalne natarcie. Jakaś dziwną siłą zmusiła go do oceny rzeczywistości i do usprawiedliwienia się. Była orzeźwiającym wiatrem w spalającym wszystko żarze i, co tu dużo mówić, dawała mu ukojenie.

Druga Maggie? Coraz bardziej ją podziwiał. Kiedy po raz pierwszy zapukał do jej drzwi, nie przypuszczał, że ma do czynienia z kobietą tak zdolną koić, naprawiać, popychać we właściwym kierunku...

Zamknął się w łazience i spojrzał na swoją twarz w lustrze. Spojrzenie jakby zaszczone, twarz ściągnięta, niezdrowa cera. Więcej siwych włosów na głowie, więcej zmarszczek na czole.

Właściwie kiedy zaczął wyglądać tak staro? Miał przecież dopiero trzydzieści pięć lat. O tak, widać na jego twarzy piętno ostatnich osiemnastu miesięcy.

Czy to możliwe, by Wren Matthews uważała go za przystojnego mężczyznę? Wyczuwał to z jej spojrzeń

SAMOTNI KOCHANKOWIE

105

i słów. A może to z jej strony tylko współczucie. Jednakże rano, kiedy spadła prosto w jego ramiona, miał wrażenie że w jej oczach widzi pożądanie. Ona też go pociągała. Co do tego nie było wątpliwości. Jeśli i on ją pociąga, to sytuacja staje się niepokojąca, bo nie wiadomo, dokąd ich to zaprowadzi.

Ale jest też druga strona medalu. Gdyby nawet nie był zajęty ściganiem Connora Hellera, to serce miał puste, niezdolne do prawdziwej miłości. Chociaż kto wie? Kiedy ofiarowała mu pracę na farmie, to przez moment miał ochotę przyjąć propozycję. Nie musiałby już ścigać Hellera, niechby to zrobiła policja, a on mógłby zacząć nowe życie. Już teraz, od razu, w Stephenville. Wren dała mu prawdziwy wybór między... No właśnie... między czym a czym? Z jednej strony zemsta, z drugiej szansa leczenia ran przy okazji dojenia krów.

Zdjął koszulę i obrócił się plecami do lustra. Spojrzał za siebie na długą bliznę... Nie wybaczy i nie zapomni Hellerowi jego zbrodni.

Wren poszła do łazienki. Incydent z Keeganem wstrząsnął nią. Odparła jego natarcie, ale jakim kosztem?

Zrzuciła ubranie i weszła pod prysznic. Pod gorącym strumieniem wody myślała o Keeganie.

Jeszcze nigdy w życiu żaden mężczyzna tak jej nie pociągał. Oczami wyobraźni wędrowała po jego ciele, nawet po tej paskudnej bliznie na szyi i plecach. Ta blizna potęgowała w niej falę czułości, symbolizowała bowiem cierpienia tego mężczyzny, który naprawdę zasługuje na spokojną przystań życiową. Taką, jaką przed laty już zdobył, myśląc, że to

SAMOTNI KOCHANKOWIE

na całe życie, a potem stracił w bliżej nie znanych jej okolicznościach.

Ciekawe, w zasadzie powinna bać się tego człowieka, a tymczasem czuła do niego coraz większy pociąg. Kochanie się z nim byłoby cudowne...

Kochanie się z nim? Niech jej niebiosy wybaczą, ale myśl o kochaniu się z nim towarzyszyła jej już od wczorajszego ranka. Pragnęła Keegana tak, jak dotąd nigdy nie pragnęła niczego.

Gdyby tylko zechciał po ludzku ze mną porozmawiać, pomyślała. Ale on się zaniknął, jakby się bał, że ktoś skłoni go do poniechania swoich planów, samotności, na jaką sam się skazał.

Czego ty od niego chcesz, zadała sobie pytanie. Żeby odsłonił przed tobą duszę? A niby z jakiej racji? Jesteś dla niego nikim. Co za ironia losu! Przed kilkoma dniami myślała o wynajęciu kogoś, kto doiłby krowy i trzymał się z daleka. A teraz, kiedy upatrzyła sobie pracownika, to chciałaby, by się jej zwierzał ze swoich sekretów.

Daj temu wszystkiemu spokój, Wren! Traktuj go miło, bądź dla niego uprzejma i okazuj dobroć, póki go tu masz, a potem pozwól mu iść, dokąd chce. Nie próbuj go zatrzymywać żadnymi argumentami. To bezcelowe, tylko się ośmieszysz.

Całkiem dobre daję sobie rady, ale czy zechce ich posłuchać?

Wren jest niezmiernie w swoich wysiłkach, pomyślał Keegan. Nie potrafi zrezygnować. Wesoło nuci, krząta się niestrudzenie po kuchni, obdarza go ciepłymi uśmiechami.

SAMOTNI KOCHANKOWIE

107

Keegan skończył właśnie popołudniowy udój i dopiero co wrócił do domu. Pod choinką zobaczył dwie paczki owinięte świątecznym, kolorowym papierem. Miał nadzieję, że to nie dla niego. Sama myśl, że mógłby dostać od Wren jakiś prezent, wprawiała go w panikę.

- Usiądź sobie w saloniku i odpocznij! - zawołała Wren z kuchni. - Kolację wigilijną zjemy obok choinki.

Keegan jęknął. Wren chce, żeby to były uroczyste święta. Nie miał serca nadal oponować. Niech tam sobie będą. Zawsze były to dla niego radosne święta, teraz na myśl o nich poczuł w sercu ból.

- Potrzebujesz jakiejś pomocy? - zapytał.

- Nie - padła krótka odpowiedź.

Włożył ręce do tylnych kieszeni spodni i poszedł do saloniku. Stanął pośrodku i zaczął się rozglądać. Zainteresowała go półka z książkami na ścianie naprzeciwko kominka. Podszedł. Dickens, Twain, Hemingway, Steinbeck, Cather, Faulkner, a także Poe. Zakurzone tomy, oprawne w skórę, złożone grzbiety. Tego właśnie należało się spodziewać w domu nauczycielki literatury angielskiej.

Minęły chyba wieki, kiedy on chodził do liceum i czytał książki tych autorów. Kiedyś był młody i palił się, żeby wyfrunąć z domu. Gdyby wiedział, co go czeka, nie spieszyłby się tak z ukończeniem nauki.

- W szafie w holu są składane stoliki, specjalnie do posiłków przy telewizorze. - Usłyszał z kuchni głos Wren. - Bądź łaskaw je wyjąć i ustawić.

Westchnął i w milczeniu poszedł spełnić jej życzenie. Gdyby się odezwał, mogłoby mu się wyrwać coś, co zepsułoby jej dobry humor. Ustawił stoliki i włączył telewi-

SAMOTNI KOCHANKOWIE

zor na wiadomości o szóstej. Trafił akurat na pierwsze słowa spikera, który teatralnym głosem zapowiedział:

- „Wszyscy chłopcy i dziewczęta, słuchajcie! Właśnie otrzymaliśmy wiadomość o pojawieniu się Świętego Mikołaja w północnym Teksasie...!”

Takie głupstwo wystarczyło, by Keeganowi zaszklily się oczy i przypomniał sobie ostatni wieczór wigilijny z Maggie i Kate... Nie, nie będzie teraz o tym myślał, postanowił stanowczo, ocierając łzy.

Spiker z emfazą opowiadał o stroju Świętego Mikołaja, jego saniach i ciągnących je reniferach.

Przypomniał, by dzieci pozostawiły przy kominku czerwoną pończochę, koniecznie czerwoną, bo Święty Mikołaj łatwiej ją zauważy...

Kate miała wtedy trzy latka... Już potrafiła cieszyć się świętami.

Ten spiker jest okropny, jego sztuczna wesołość staje się nieznośna. Keegan wziął pilota i wyłączył telewizor. Przeciągnął dłonią po czole i stwierdził, że zrosił je pot. Czyżby wróciła gorączka?

- Keegan?

Otworzył oczy i zobaczył stojącą nad nim Wren.

- Czujesz się dobrze? - spytała.

- Dobrze.

- Włącz telewizor. Chciałabym dowiedzieć się, jaka czeka nas pogoda.

- Dobrze. - Kliknął pilotem.

- „... i tę zimę trzeba będzie wpisać do księgi rekordów, drodzy państwo - obwieścił ponurym głosem telewizyjny meteorolog. - Temperatura trochę się podnosi, ale tylko

SAMOTNI KOCHANKOWIE

109

do minus sześciu stopni i jutro spodziewamy się śnieżnej zawiei. Spadnie od pięciu do dziesięciu centymetrów śniegu. Tak jest, proszę państwa, po raz pierwszy od 1934 roku w północnym Teksasie będziemy mieli białe Boże Narodzenie!"

Keegan wzruszył ramionami. Pochodził z Chicago. Dla niego białe Boże Narodzenie to najzwyklejsza rzecz. Dziwiłby go brak śniegu.

- Będziemy mieli wspaniałe święta! - wykrzyknęła uradowana Wren i zaczęła klaskać w dłonie.

Poczuł, że żal ściska mu serce. Kate tak samo klaskała, gdy rano w pierwszy dzień świąt zobaczyła przez okno świeży śnieg.

- Jak ja się cieszę, że będziesz ze mną w te święta - powiedziała ciszej, patrząc na Keegana.

- Musi ci bardzo brakować towarzystwa, skoro może ci sprawić przyjemność spędzenie świąt z takim draniem jak ja - odparł z humorem.

- Jesteś dla siebie zbyt surowy.

- Za mało mnie znasz, by to wiedzieć. Skąd właściwie ta pewność, że nie jestem mordercą, który umyka przed policją? Wszystko, co ci mówię, może być kłamstwem.

To prawda. Przecież równie dobrze mógł zapukać do jej drzwi Connor Heller.

Rzuciła mu żalosne spojrzenie.

- Nie wiem, co takiego wydarzyło ci się w przeszłości, panie Winslow, i co spowodowało, że wszystko się rozsypało, ale wcześniej czy później musisz zacząć to zbierać.

Nie odpowiedział. W kuchni brzęknął dzwonek oznaczający, że wyznaczony czas pieczenia minął.

SAMOTNI KOCHANKOWIE

- Idziemy po talerze! - obwieściła Wren.

Na kolację była pieczona kornwalska kura, oczywiście nadziewana, do tego zielony groszek i gorące bułeczki.

- Wigilia była jedynym dniem, kiedy mama pozwalała nam jeść w saloniku. We wszystkie inne dni zasiadaliśmy przy stole w kuchni. Ale w czasie Wigilii, z talerzem na kolanach, patrzyliśmy na kolorowe lampki na choince i wpatrywaliśmy się w podświetlonego anioła...

Keegan wpatrywał się w talerz. Nie miał ochoty słuchać, jak Wren spędzała kiedyś święta. Nie chciał wspominać swoich świąt, w ogóle nie chciał myśleć o świętach.

Zaczął powoli jeść, a Wren szczebiotała dalej, pewna, że ma wiernego słuchacza.

A mówiła, ponieważ uważała, że jeśli nie wypełni słowami ciszy, to zapadnie milczenie, które pozrywa te kruche więzi, jakie ich łączyły. Do Keegana docierały słowa, ale zupełnie nie zastanawiał się nad ich treścią. Nie chciał teraz w ogóle myśleć. Ani o Maggie, ani o Kate, ani o tych skomplikowanych związkach, które w niezrozumiały sposób splątywały go z Wren.

Wren nagle przestała mówić. Keegan zauważył to dopiero po kilkunastu sekundach, więc odłożył widelec

i spojrzał na nią. Patrzyła na niego, a w oczach miała łzy.

- Co się stało? - zapytał z niepokojem.

- Czy jestem dla ciebie odrażająca?

- Co to znowu za bzdura? Oczywiście, że nie.

- No to dlaczego zawsze się ode mnie odwracasz? Jakbym była Bóg wie jakim potworem...

- Wren, jak możesz coś podobnego myśleć...

SAMOTNI KOCHANKOWIE

111

- Możesz być ze mną zupełnie szczerzy. Jeśli moje kalectwo cię odrzuca....
- Wcale mnie nie odrzuca. Ani trochę.
- No więc, co ci się we mnie nie podoba?
- To wcale nie chodzi o ciebie. Przez tyle czasu byłem zupełnie sam... odzwyczaiłem się od przebywania z ludźmi. To naprawdę chodzi o mnie. Moje talenty towarzyskie są bardzo mizerne.
- Nie kłamiesz, mówiąc, że to nie moje utykanie?
- Kochanie, twoja drobna ułomność nie odwraca ani na ułamek sekundy mojej uwagi od twojej urody.

Zaczerwieniła się po korzonki włosów. On powiedział „kochanie” i „urody”. Oczywiście wiedziała, że „kochanie” należy do formułki grzecznościowej, ale mimo to była wniebowzięta, choć jeszcze niepewna.

- Nie musisz kłamać. Nie jestem urodziwa.
- Kto ci tak powiedział?
- Mam za sobą pewne doświadczenie.
- Widzę, że miałaś złe doświadczenie.

Keegan sam nie wiedział, co skłoniło go do tego gestu, wiedział tylko, że musi podnieść na duchu Wren. Odsunął swój stoliczek z talerzem, odsunął jej stoliczek, usiadł na piętach przed jej fotelem i delikatnie ujął jej podbródek.

- Masz wewnętrzne piękno, Wren. Promieniuje ono z ciebie. Jest to uroda, której nie można osiągnąć żadnymi szminkami i kosztownym strojem.
- Ale moje kalectwo... - zaczęła.
- Jest kalectwem tylko wtedy, kiedy chcesz, żeby było. Dla mnie to jest twój dodatkowy atut. Tak, atut. To ci dodaje uroku. I to mówi światu, że jesteś kobietą, która

SAMOTNI KOCHANKOWIE

cierpiała i przeszła przez cierpienie, nie tracąc nic ze swych cnót.

- Nie wiem, czy można się zgodzić z taką opinią.

- Jeśli ktoś chciałby cię ocenić po tym, że kulejesz, to znaczy, że byłby głupi i niegodny ciebie.

- Dziękuję - odparła.

Keegan poklepał ją po kolanie i wstał. Ten zwykły gest wywołał u Wren przyspieszone bicie serca.

A Keegan pomyślał sobie, że ani słowa nie skłamał. Ta kobieta jest bardzo pociągająca.

Natomiast Wren planowała już następny krok. Skoro Keegan uważają za pociągającą, skoro ona mu się podoba, to może uda się jej skłonić go do powierzenia straszliwej tajemnicy jego osobistej tragedii. Jeśli on podzieli się z nią swoimi przeżyciami, to może znikną dzielące ich bariery. I droga do przyjaźni zostanie otwarta. Bardzo jej się podobał własny plan. Ale aby go skłonić do zwierzeń, ona musi zacząć od siebie.

- Chciałbyś wiedzieć, dlaczego kuleję? - spytała.

- Jeśli chcesz o tym mówić. - Nie miał zamiaru ani jej zachęcać, ani zniechęcać. Rozsiadł się wygodnie w fotelu, skrzyżował ręce na piersiach i czekał na zwierzenia.

Wren wzięła głęboki oddech i zaczęła opowiadać o wypadku ze wszystkimi szczegółami.

Keegan słuchał bardzo uważnie. Początkowo Wren miała zamiar krótko opowiedzieć o wypadku, o oblodzonej szosie, wypadnięciu samochodu z szosy i uderzeniu w drzewo, o śmierci rodziców i jej kontuzjach, ale Keegan żywo interesował się wszystkim, więc powoli z historii wypadku przeszła na historię wyłudzenia pie-

SAMOTNI KOCHANKOWIE

113

niędzy przez Blaine'a Thomasa, który namówił ją na zainwestowanie pieniędzy w przedsięwzięcie, które miało wzbogacić mleczną farmę, a okazało się zwykłym oszustwem.

Kiedy skończyła prawie po godzinie, Keegan wyraził ubolewanie z powodu śmierci rodziców i jej obrażeń. Natomiast co do Blaine'a Thomasa, to stwierdził, że ona nie ma się co tego wstydić, gdyż podobne historie zdarzają się nawet doświadczonym biznesmenom.

- Po prostu zbyt ufasz ludziom - oświadczył. - Myślę, że mnie też.

- Od czasu przygody z Blaine'em nikomu nie ufałam. Nawet z nikim nie umawiałam się na randki.

Ich spojrzenia się skrzyżowały.

- Jesteś pierwszym, któremu zaufałam od tamtego czasu - szepnęła.

- Nie powinnaś mi ufać - odparł bardzo poważnie. - To nierozważne z twojej strony.

- Przecież chyba nie chcesz wyrzucić mi krzywdy, Keeganie Winslow. - Nie spuszczała wzroku z jego twarzy.

- Nie o to chodzi. Nic o mnie nie wiesz.

- No, to powiedz coś o sobie. Przecząco pokręcił głową.

- Dlaczego nie?

- Dla twojego dobra.

Jego słowa powinny ją przerazić, ale nie przeraziły. Tajemnica, którą okrywał swą przeszłość, tylko wzmagala jej zainteresowanie.

- Czy zrobiłeś coś złego?

SAMOTNI KOCHANKOWIE

- Nic złego nie zrobiłem, ale mam intencje, do których nie pasowałoby określenie „szlachetne”.
- W stosunku do mnie?
- W stosunku do wszystkiego... - Z gardła dobył mu się przedziwny skowyt.

Wren zadrżała.

- Czy ta twoja blizna ma jakiś związek z tymi niedobrymi intencjami?
- Nie powinnaś tego widzieć. To długa, ponura historia.
- No cóż, muszę respektować twoje prawo do prywatności. - Westchnęła rozczarowana.
- Dziękuję za zrozumienie.

Wren wstała, pozbierała talerze i zniosła je do kuchni. Targały nią różne emocje. Ni to strach, ni ponure przewidywania, a także pokusa oraz niesłabnące pożądanie.

Zastanawiała się, co on zrobił takiego okropnego, że teraz nie chce o tym mówić. Dlaczego ucieka? Bo nadal, mimo jego zaprzeczeń, uważała, że on przed czymś czy przed kimś ucieka. Keegan Winslow to jedna wielka enigma, a jednocześnie paradoks. Miły, czuły, pomocny i serdeczny zamieniał się nagle w kogoś zupełnie obcego, kogoś, kto wykonuje przedziwne uniki, byle tylko nie pomyślano, że może być dobrym człowiekiem. I te jego stanowcze odmowy uchylecia rąbka tajemnicy okrywającej jego przeszłość... Dziwne...

Naprawdę nie wiedziała, co o nim myśleć. Jednak to mają być miłe święta, więc żadnym dalszym nagabywaniem nie będzie ryzykowała popsucia ich atmosfery. Włożyła talerze do gorącej wody i wróciła do saloniku.

SAMOTNI KOCHANKOWIE

115

- W naszej rodzime istniał zwyczaj otwierania prezentów w Wigilię, a nie następnego dnia rano. A u ciebie?

- spytała.

- U nas w pierwszy dzień świąt o świcie.

Wren podeszła do choinki, wzięła obie paczki i podała je Keeganowi.

- To dla ciebie. Poczul się skrepowany.

- Ależ... ja nie mam nic dla ciebie...

- Owszem, masz.

- A co takiego?

- Uśmiech.

Skrzywił usta w wymuszonym uśmiechu.

- Ja nie lubię ani plastikowych kwiatów, ani sztucznych uśmiechów - odparła. - Chcę, żeby był prawdziwy.

- Nie przyjdzie mi to łatwo.

- Wiem. Postaraj się.

Postarał się i tym razem śmiały się także jego oczy. Wren odpłaciła tym samym. Zrobiło się jej bardzo gorąco i nadzwyczaj przyjemnie. W odpowiedzi na jej promienny uśmiech Keegan uśmiechnął się jeszcze szerzej i bardziej spontanicznie.

- Teraz jest świetnie, wspaniale! - Oczy jej błyszczały.

- A teraz otwórz swoje prezenty.

Keegan zaczął odwijać pierwszą paczkę. Wren w tym czasie podziwiała jego czarne kręcone włosy i profil. Doszła do wniosku, że nie widziała w życiu przystojniejszego mężczyzny. Podobał się jej zwłaszcza uśmiechnięty. Keegan rozdarł papier, żeby szybciej rozwinąć paczkę. Zoba-

SAMOTNI KOCHANKOWIE

czył popielaty sweter, który Wren wydziergała w ciągu minionej nocy.

- Wspaniały! - wykrzyknął. - Ale powiedz, skąd go wzięłaś? Przecież wiem, że nie wyjeżdżałaś po żadne zakupy.

Wren bez słowa wzięła ze stojącego pod ścianą pomocnika torbę, otworzyła ją i pokazała kłęбки popielatej wełny z wetkniętym w nie szydełkiem.

- Sama to zrobiłaś? - W jego głosie zabrzmiał prawdziwy podziw. Przytknął mięciutki sweter do policzka i było widać, że jest naprawdę zadowolony. - Dziękuję, bardzo dziękuję...

- A w tej mniejszej paczce jest szalik w tym samym kolorze... No, bo pomyślałam sobie, że potrzebujesz czegoś ciepłego, wędrując zimą... Nie chciałabym, żebyś znowu zachorował...

- Jesteś nieoceniona, Wren!

- Po prostu święta muszą być świętami...

- Zasługujesz na prezent ode mnie. Coś poważniejszego niż uśmiech. Ale ja nic nie mam...

- To nieprawda. Otrzymałam od ciebie wartościowy prezent. I nie mówię o uśmiechu.

- A o czym?

- Zreperowałeś rurę w oborze. To jest wspaniały prezent. Czy ty sobie wyobrażasz, ile musiałabym zapłacić hydraulikowi?

- I tak go chyba będziesz musiała wezwać.

- Nie musiałabym, gdybyś tu został.

Jakaś ciemna chmura przesłoniła jego jasne spojrzenie.

- Nie mogę, Wren. Bardzo bym chciał, ale nie mogę.

SAMOTNI KOCHANKOWIE

117

- Czym mogłabym cię zachęcić, byś zmienił zdanie, Keegan? Jesteś mi tu bardzo potrzebny. Bardzo...

- Znajdziesz kogoś innego. Posmutniała i cofnęła się o krok.

- No cóż, chyba będę musiała...

Nie powiedziała, że nie chce nikogo innego, że chce tylko Keegana. W nocy tęskniła do niego. Przesłaniał jej wszystko.

Gdy się uśmiechał, ugiwały się pod nią nogi. Straciła apetyt. Przez te dni Keegan wypalił wielką dziurę w jej sercu. Bez niego ta dziura nigdy się nie zagoi.

Keegan postąpił kilka kroków w kierunku okna, potem skręcił, jakby chciał iść do kuchni, wreszcie zatrzymał się pod lampą, z której zwisała gałązka jemioly.

Powodowana nagłym impulsem Wren, kuśtykając, pokonała szybko odległość dzielącą ją od niego. Może to jest jej ostatnia szansa, tłumaczyła sobie, by zwyciężyć naturalną nieśmiałość.

Patrzył nieco zdziwiony, zupełnie nieświadomy tego, co miało nastąpić.

Gdy stanęła przed nim, niemal go dotykając, powiedziała szybko:

- Mam dla ciebie jeszcze jeden prezent. Zamknij oczy. Usłuchał i zamknął je.

Cała dygocząc, szykowała się do zrobienia tego, na co miała ochotę od chwili, gdy spadła z drabiny, a Keegan pochwycił ją w ramiona: wspięła się na palce i złożyła mu na ustach gorący pocałunek.

W pierwszej chwili Keegan nie zareagował. Wren skorzystała więc, zarzuciła mu ręce na szyję i przyciągnęła

SAMOTNI KOCHANKOWIE

głowę. W pewnej chwili przeraziła się swoją odwagą, ba, bezczelnością. Tak postępują tylko dziwki! Ale w momencie, gdy ta myśl przebiegała jej przez głowę, Keegan jakby ożył, wydał zduszony jęk, objął Wren, przyciągnął do siebie i wpił się ustami w jej wargi.

Wren chłonęła pocałunek chciwie, łapczywie, jakby w obawie, że nic podobnie cudownego nie przydarzy się jej w życiu. Uścisk Keegana był niby żelazna obręcz, która miała przykuć ją do niego na zawsze.

Keegan oderwał usta i zaczął szeptać jej do ucha:

- Wren, Wren, moja mała słodka Wren...

Dłońmi błędził po jej plecach, najpierw delikatnie, potem niemal brutalnie. Odchyliła głowę, otwierając mu dostęp do szyi, którą zaczął pieścić muśnięciami warg. Gdy jedną rękę przeniósł z pleców na jej piersi, zajęczała z rozkoszy.

Jak to było dawno, kiedy ktoś jej pragnął. Strasznie dawno. A to jest chyba najcudowniejsze uczucie: być pożądaną, słyszeć bicie serca mężczyzny i swojego. Ale tak cudownie nie byłoby jej z nikim innym. To uczucie jest tak wspaniałe tylko dlatego, że trzyma ją w ramionach Keegan Winslow. Jednym wielkim kłamstwem były pocałunki Blaine'a. Pocałunki Keegana są prawdziwe, szczerze...

Czy aby naprawdę? Przecież sam ostrzegał ją przed sobą. Radził, by mu nie zawierzała. Mówił, że nie wolno mu ufać. Blaine ją oszukiwał, przedstawiając siebie w najlepszym świetle, by ją potem okraść.

O tak, Keegan jest inny. Tylko bardzo uczciwy człowiek przyznaje się do swoich słabości i ostrzega przed

SAMOTNI KOCHANKOWIE

119

nimi. Keegan jest z gruntu uczciwy. Nie składałby na jej czole, ustach i brodzie fałszywych pocałunków. Ale właściwie już nic nie wiedziała. Może ona nie chce dostrzegać wad Keegana, tłumaczy przed sobą jego styl życia, ponieważ... zakochała się w nim po uszy?

Pomyślawszy to, zdała sobie sprawę, że taka jest właśnie prawda. W ciągu trzech dni, nie wiadomo jak i kiedy, oddała serce temu człowiekowi. Zakochała się w Keeganie Winslowie, o którym właściwie nic nie wiedziała, oprócz tego, że pojawił się w okolicy w niewiadomym celu, ma okropną bliznę po oparzeniu i tłamsi w sobie jakieś okropne wspomnienia.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Keegan zdecydowanym gestem zdjął z szyi oplatające go ramiona kobiety i odsunął ją od siebie.

- Wiem, że mnie polubiłaś..Może nawet więcej niż polubiłaś, ale, niestety, źle ulokowałaś swoje uczucia.

- Moim zdaniem adresat jest bardzo odpowiedni.

- Nie potrafię ci odpłacić tym samym.

- A kto cię o to prosi...? - Zaśmiała się nieszczercze. - Ja niczego od ciebie nie oczekuję. Stałeś pod jemiolą, a zgodnie z tradycją, składając życzenia, można się pod nią pocałować...

Nie dał się zwieść. Patrzył na nią z ojcowską wyrozumiałością, z jaką patrzy się na dziecko opowiadające banialuki. Ten ich pocałunek, przytulanie się... To był dynamit. Kto wie, może gdyby nie konieczność zajęcia się Connorem Hellerem, gdyby nie trawiący ból, nienawiść i pragnienie zemsty, to zająłby się poważnie inną sprawą: zbliżeniem z Wren. Dobry pan Bóg wie, do czego mogłoby to doprowadzić.

- Uważasz, Wren, że to był taki zwykły bożonarodzeniowy pocałunek?

- A cóż w tym było niezwykłego? Chyba sobie nie ubrdałeś, że to mogło znaczyć coś więcej? - mówiła

SAMOTNI KOCHANKOWIE

121

z dumnie podniesioną głową. Kobieta z urażoną dumą. Ale dolna warga jej drżała.

- Ależ nie, skądże znowu, niczego podobnego sobie nie ubrdałem. - Wzruszył ramionami, choć pocałunek go jeszcze palił, a serce brało udział w jakimś dzikim wyścigu.

Wren zmusiła się do uśmiechu, ale Keegan dobrze widział zaszklone łzami oczy. Dlaczego ją zranił? Przecież nie miał zamiaru tego uczynić. Przez minione sześć miesięcy unikał jakichkolwiek kontaktów z ludźmi, koncentrując się wyłącznie na swoim planie zemsty, i chyba w samotności zdziczał. Nie miał prawa niczym zachęcać Wren. Miał pozostać kimś obcym, kto przypadkowo wpadł na chwilę i zaraz zniknie.

Ale teraz sytuacja się skomplikowała. Najpierw zamieć, potem jego gorączka, następnie burza, a do tego wszystkiego okres świąteczny. Przy takim splocie okoliczności trudno utrzymywać dystans.

- Raz jeszcze dziękuję, Wren, za ten sweter i szalik. Przecież to musiało zająć ci masę czasu. No i dziękuję, że w ogóle o tym pomyślałaś.

- Cieszę się, że mogłam ofiarować ci te rzeczy.

- Jestem okropnie zmęczony - powiedział. - Po tej gorączce jeszcze nie całkiem wróciłem do siebie.

Skinęła głową.

- Chyba się położę. Naprawdę jestem senny. - Przeciągnął się i szeroko ziewnął.

- Zrób to, zrób!

- Wobec tego dobranoc, Wren.

- Dobranoc.

SAMOTNI KOCHANKOWIE

W drodze do sypialni Keegan walczył z poczuciem winy. Zatrzymał się w holu i obejrzał za siebie. Wren stała na tle rozświetlonej choinki. Wygląda jak anioł, pomyślał. Powiedział głośno:

- Jutro rano o świcie ruszam w drogę. Był jej wdzięczny za milczenie.

- Czy mógłbym cię prosić o moje magnum?

- Zaraz ci dam...

Wzięła kluczyk wiszący koło telefonu i otworzyła nim szafkę z bronią. Wyjęła magnum i podała Keeganowi.

- Powodzenia - szepnęła.. - Mam nadzieję, że znajdziesz to, czego szukasz.

Wren podniosła słuchawkę telefonu. Nadal nie działał. Najwidoczniej zła pogoda utrudniała naprawę. No i święta. Zwykle reperowali szybciej. Gdyby miała czynny telefon, zadzwoniłaby do koleżanki ze szkoły, Mary Beth Armand. Ot, aby z kimś porozmawiać.

Może to i dobrze, że linia jest uszkodzona. Właściwie o czym miałyby mówić z Mary Beth? Ze zrobiła z siebie idiotkę? I żeby w szkole rozeszły się plotki na jej temat?

Usiadła w bujanym fotelu przy kominku. Zaczęła się kołysać. Tam i z powrotem, tam i z powrotem. Skąd jej przyszło do głowy całować Keegana. I co chciała tym osiągnąć? Czego właściwie chciała od tego mężczyzny?

Szukała ramienia, na którym mogłaby się wesprzeć... Tak, chyba o to chodziło. I żeby pokochać kogoś... Tak dawno nie kochała.

Głęboko westchnęła, zatrzymała bujak i wstała. Poszła do kuchni zmyć naczynia. Włączyła radio, by zagłuszyć

SAMOTNI KOCHANKOWIE

123

własne myśli. Nadawano kolędy. O radości, o miłości, o braterstwie ludzi. Wren zaczęła nucić razem z chórami.

Ze spotkania z Keeganem wyniosła nowe doświadczenie: trzeba mieć inny stosunek do życia. Nie wolno być zawsze w cieniu, kryć się, unikać ludzi. Nie wolno też wykorzystywać kalectwa jako wytłumaczenia takiego zachowania. Otrzymała lekcję... Spotkała człowieka, którego lęki były silniejsze niż jej lęki. Którego potrzeby były większe niż jej potrzeby. Potrzeby czego? Spełnienia i udowodnienia, że się potrafi coś zrobić.

Keegan Winslow, nie wiedząc o tym, spełnił rolę lustra. Dostrzegła w nim to, co jej się nie podobało w sobie. Teraz już wiedziała, jak powinna postępować. Przede wszystkim musi zmienić tryb życia na otwarty, przestać stronić od ludzi, pokonać nieśmiałość. Jeśli tego nie uczyni, wkrótce upodobni się do Keegana, człowieka zgorzkniałego i wyobcowanego ze społeczeństwa. Keegan odrzuca pomoc nawet wtedy, gdy jest mu bardzo potrzebna. Pławi się w cierpieniach.

Swoją drogą to szczęście, że właśnie taki człowiek jak on pojawił się na progu jej domu. Dzięki niemu wie, jak ma postępować. A przede wszystkim, że ma przestać uzalać się nad sobą i własną samotnością, ma zainteresować się życiem i pomagać innym. Pomagając Keeganowi, już otworzyła się na innych. Ponadto spostrzegła, że odradza się w niej zdolność kochania... Nie, niekoniecznie Keegana, zastrzegła w myślach.

No tak, powinna być mu wdzięczna za ten niespodziewany i nie uświadomiony sobie przez samego Keegana bożonarodzeniowy prezent.

SAMOTNI KOCHANKOWIE

W radiu skończyła się kolęda, a po chwili rozległ się podniecony głos spikera:

- „Godzina dziesiąta, moi mili! Czas na wiadomości. Niestety, nawet w Wigilię bywają wiadomości złe. Otóż otrzymaliśmy przed chwilą komunikat...”

Wren przerwała wycieranie talerza i sięgnęła do pilota. Nie była w nastroju do wysłuchiwanie bzdur o tym, jak to Święty Mikołaj wraz z reniferami wpadł do rowu. Ręka zawisła jej jednak w powietrzu, gdy usłyszała następne zdanie:

- „Groźny przestępca został zauważony w okolicach Stephenville. Jest to skazany za morderstwo więzień, który przed sześcioma miesiącami zbiegł z więzienia Juliet. Rzecznik policji wyjaśnił, że dlatego teraz podaje się ten fakt, ponieważ dopiero dzisiaj po raz pierwszy zauważono zbiega na drodze prowadzącej do farm na południe od Stephenville...”

Wren krzyknęła: „O Boże!” i zastygła z talerzem w ręku.

- „Chodzi o niejakiego Connora Hellera z Chicago, lat trzydzieści pięć, wzrost 188 centymetrów i waga... Uwaga!... ponad sto czterdzieści kilogramów - kontynuował spiker. - Jest niebezpieczny, najprawdopodobniej uzbrojony. Odbywał karę więzienia za podpalenie domu znanego chicagowskiego policjanta. W pożarze zginęła żona i córka policjanta, a policjant został poważnie poparzony, podobnie jak sam Heller, którego znakiem szczególnym jest teraz blizna na szyi i plecach. Podpalenie było zemstą za zabicie brata Hellera, Victora, podczas obławy na gang narkotykowy...”

SAMOTNI KOCHANKOWIE

125

Wren czuła, że z twarzy odpłynęła jej cała krew. Wyrwała się z odrętwienia i zaczęła spacerować po kuchni, by zacząć racjonalnie myśleć. Powróciły wszystkie lęki, jakie miała, gdy przed trzema dniami ktoś zapukał do jej drzwi. Wpadła wtedy nawet w panikę.

Heller jest z Chicago. Keegan także. Obaj mają po trzydzieści pięć lat. Heller jest wysoki. I Keegan jest wysoki. Nie pasuje tylko waga. Ale Heller mógł schudnąć, bo od miesiący ucieka, kryje się. Jednakże instynkt podszeptował jej, by nie wyciągała pochopnego wniosku, choć wydawał się oczywisty. Fotografia Keegana... Zginęła przecież matka z dzieckiem...

Ale ta blizna... ? To jest przecież dowód niezbity. Blizna w tym samym miejscu...

Zbiałałymi ustami wyszeptywała jakąś modlitwę, która miałaby sprawić, że Keegan nie jest Hellerem. Modlitwa tu nic nie pomoże, słyszała, co słyszała. Keegan jest Hellerem, a ona, jak ostatnia idiotka, oddała mu właśnie groźne magnum.

Keegan leżał na łóżku wpatrzony w sufit. Słyszał kolędy nadawane przez radio, ale nie myślał o świętach, tylko o postaciach odgrywających dominującą rolę w jego świadomości. Nieustannie przypominała mu się twarz Maggie i buzia Kate, chyba po raz setny zabijał ich mordercę, Connora Hellera, z czułością powracał też myślami do Wren. Podziwiał jej odwagę i cierpliwość w stosunku do obcego przybysza. Żałował, że nie potrafi zrewanżować się jej uczuciem, ale nie wolno mu było zejść z drogi zemsty. A potem...? Kto wie, co stanie się potem z mści-

SAMOTNI KOCHANKOWIE

cielem. I dlatego właśnie on, Keegan, nie może sobie pozwolić na słabość pokochania tej kobiety. Zwłaszcza, że Wren Matthews jest po prostu utykającą i niezdarną, przerażoną nauczycielką, naiwną jak dziecko. Oddała mu przecież magnum.

To nieprawda, wykrzyknął do siebie. To nieprawda, co teraz o niej pomyślał. Specjalnie buduje mur, żeby go od niej odseparował. Wren jest cudowną kobietą.

Pod poduszką trafił na zimną stal magnum. Jak to dobrze, że odzyskał broń. Będzie mu potrzebna... Przymknął oczy i zaczął szukać w myślach przekonujących argumentów, dlaczego będzie mu potrzebna. Wspomnieniami powrócił do przeszłości. To już półtora roku temu! Stała mu w oczach scena pożaru. Bezwiednie zacisnął dłonie w pięści. Była godzina czwarta rano. Właśnie wracał do domu po kilkunastogodzinnej ciężkiej służbie. Szedł pieszo, bo samochód zostawił Maggie, a ze stacji do siebie miał tylko dwa kilometry. Idąc, coś poczuł. Dym! Zdziwił się, że o tej porze roku i dnia ktoś pali w kominku. Potem nad dachami domów zobaczył płomienie i nagle otrzeźwiało. Puścił się pędem. Miał nadzieję, że jego strach jest bezpodstawny.

Palił się właśnie jego dom.

Wyły syreny dojeżdżających sekcji straży pożarnej. Kręciły się czerwone światła kogutów na dachach karetek policyjnych i ambulansów. Gdy usiłował przedrzeć się do wejścia, zatrzymali go strażacy... Wyrwał się im i przez płomienie wpadł jak huragan do wnętrza objętego pożarem budynku...

Nie zdążył! Maggie już nie żyła. Znalazł ją martwą,

SAMOTNI KOCHANKOWIE

127

z Katie w ramionach. Podniósł ją i ruszył do wyjścia. Nie słyszał szmeru za sobą. Silne uderzenie powaliło go na ziemię. Kątem oka zobaczył uciekającą postać. Rozpoznał Connora Hellera. Strażacy znaleźli Keegana w ostatniej chwili, bo gdy z nim wychodzili, runął płonący dach. Udało im się wydostać na zewnątrz, ale Keegan, bez ognioodpornego kombinezonu, doznał poważnych obrażeń. Był półprzytomny i bez przerwy wymawiał imię Maggie...

Myślami powrócił do terażniejszości. Złapał się na tym, że wymawia inne imię. Wren.

Ty jednak masz wielkie szczęście, pomyślał. Nie tylko ocalałeś życie, wylizales się z oparzeń, ale dana ci jest druga szansa. Poznałeś Wren. Przestań się nad sobą użalać i skorzystaj z tej niespodziewanej okazji, by odbudować swoje życie. Jest Boże Narodzenie, czas wielkich cudów. Tylko że, niestety, nie wierzył w cuda... Ale może...

Przestały dochodzić doń melodie kolęd z kuchennego radia. Sięgnął więc do stolika i włączył mały aparat bateryjny. Trafił na wiadomości o dziesiątej. Niepotrzebne mu wiadomości. Już miał wyłączyć radio, kiedy zastygł. Usłyszał nazwisko Connor Heller! Spiker mówił:

- , Jak już wspomniałem na początku, Connora Hellera widziano w okolicy przed trzema dniami.

Szedł pieszo. Widział go i rozpoznał kierowca ciężarówki, który natychmiast zawiadomił policję..."

Keegan poczuł ponurą satysfakcję. Tak jak przewidział: Heller przyjechał na święta do ojca. I na pewno jeszcze nie wyjechał. Jego też zaskoczyła fatalna pogoda i musi ją przeczekać. Niemniej trzeba się pospieszyć.

SAMOTNI KOCHANKOWIE

Usiadł na łóżku, wciągnął buty i schował magnum pod golfem, wsuwając je w specjalnie wszytą kieszeń.

Tym razem Connor Heller mu nie umknie!

Z głębi domu dobiegł go odgłos tłuczonego szkła. Jakby ktoś kamieniem tłukł szybę w oknie. Przez chwilę pilnie nasłuchiwał, potem otworzył drzwi do holu.

- Wren? - Cisza. - Czy wszystko w porządku, Wren?

- Wszedł do holu i zobaczył Wren przed szafką z bronią. Szafka miała zbitą szybę, odłamki szkła leżały na ziemi.

- Ręce do góry! - rozkazają Wren, tym razem uzbrojona w dubeltówkę z krótko przyciętymi lufami. Broń jest groźna nawet w rękach słabego strzelca. Wren miała na sobie flanelową nocną koszulę do kostek i nocne pantofle z różowymi pomponami. Widok był tak komiczny, że Keegan miał ochotę wybuchnąć śmiechem. Zachował jednak powagę i spytał:

- Co się dzieje, Wren?

- Może to pan mi powie, co się dzieje, panie Heller

- odparła.

- Heller? Ja nie jestem Heller, Wren. Zaraz ci wyjaśnię...

- Nie chcę słyszeć więcej kłamstw!

- Posłuchaj mnie, dziewczyno...!

- Po co? Żeby pan w czasie zagadywania mnie wyciągnął swoje magnum albo wytrącił mi broń z ręki? I proszę się nie zbliżać. Cofnąć się pod ścianę, szybko!

Keegan zrobił, co mu kazała.

- Słuchaj, Wren, ja nie jestem Connorem Hellerem. Ja jestem policjantem, któremu on podpalił dom i wymordo-

SAMOTNI KOCHANKOWIE

129

wał rodzinę. Ja naprawdę nazywam się Keegan Winslow i byłem policjantem...

Widać było, że Wren się waha i że naprawdę chciałaby mu wierzyć. Bardzo się jednak bała. Trudno jej się dziwić.

- Odłóż tę dubeltówkę. Porozmawiajmy spokojnie.

- Proszę mi pokazać legitymację policyjną albo inny dowód tożsamości.

- Mówiłem, że w policji już nie służę, prawo jazdy wraz z portfelem ukradli mi w Nebrasce, a w Ameryce innych dokumentów tożsamości nie ma...

- I ja mam wierzyć w te bujdy?

- To nie są bujdy. Słuchaj, Wren! Mówiłaś mi o swojej niezawodnej intuicji. Czy mogłabyś zdobyć się na... ciepłe uczucia dla mordercy? Nie jesteś taka niemądra.

- Już raz mnie oszukano i zdałam sobie z tego sprawę dopiero wtedy, kiedy było już za późno.

- A nasz pocałunek? Nie mów mi, że to był ot taki sobie grzecznościowy pocałunek pod jemiolą.

- W radiu mówili, że Heller ma bliznę na plecach i szyi...

- Heller został poparzony w pożarze, który sam wywołał. W tym samym pożarze i ja oberwałem.

- Wygodne tłumaczenie! Moim zdaniem jest pan Connorem Hellerem, który udaje Keegana Winslowa...

- Zastanów się, Wren! Gdybym ja był Hellerem i zamierzał wyrządzić ci krzywdę, to już sto razy mogłem ją wyrządzić.

- No, nie wiem... Pogoda się popsuła, potrzebował pan mojej pomocy, okazałam się przydatna podczas ataku gorączki...

SAMOTNI KOCHANKOWIE

Keegan niecierpliwił się coraz bardziej, bo czas odgrywał tu olbrzymią rolę. Trzeba jak najprędzej dopaść Hellera, zanim morderca, który też słucha radia, nie dojdzie do wniosku, że w tej okolicy robi się gorąco i należy zmykać.

- No cóż, Wren, wierz sobie, w co chcesz, a ja muszę już iść. - Wzruszył ramionami i opuścił ręce.

- Ani kroku! - ostrzegła i groźnie poruszyła bronią.

- Słuchaj...! - Rozłożył dłonie w bezradnym geście. - Węszę za Hellerem, od chwili kiedy uciekł z więzienia. Ostatnio wpadłem na trop, który przywiódł mnie tu... Ojciec Hellera mieszka kilka kilometrów stąd. Muszę go dopaść, zanim mi nie umknie i nie zaszyje się w jakiejś dziurze. On też z pewnością wysłuchał tego komunikatu. W ucieczce przeszkadzała mu do tej chwili śnieżycyca. Ale pogoda lada godzina może się zmienić...

- Ładna i logiczna historyjka, ale nie robi na mnie wrażenia — odparła Wren. - Wsiądziemy do mojej furgonetki. .. Już ja tak zrobię, że pan się do mnie nie dobierze... Pan będzie prowadził, a ja zostanę z tyłu... I pojedziemy do Stephenville, do szeryfa Langleya. Jeśli pan rzeczywiście jest Winslowem, bez trudu mu to pan udowodni. Policjanci rozpoznają się węchem.

- W taką pogodę jazda po oblodzonych szosach zajmie nam kilka godzin, jeśli przedtem nie zginiemy w jakiejś kraksie.

- No to co? Jeśli pan jest tym, za kogo się podaje, to na życiu panu specjalnie nie zależy. Za jednym zamachem oboje pozbedziemy się naszych cierpień...

Zdeterminowana, nieszczęśliwa kobieta, pomyślał

SAMOTNI KOCHANKOWIE

131

Keegan. Ona naprawdę chce skończyć tak, jak jej rodzice. Wren musi być naprawdę nieszczęśliwa. Jakże chciałby jej pomóc...

- Nie chcę dać Hellerowi szansy ucieczki... - Nie zrezygnował z przekonywania Wren.
- Jeśli mu tak jest pisane, to ucieknie.
- Nigdzie z tobą nie jadę. Ukaranie Hellera to dla mnie najważniejsza sprawa w życiu. - Zdecydowanym krokiem ruszył do drzwi.
- Zmusza mnie pan do użycia broni! - krzyknęła.
- Jeśli naprawdę zamierzasz mnie zatrzymać, to będziesz musiała jej użyć.

Wyszedł, nie odwracając głowy. Dopiero gdy był już kilka kroków od domu, rzucił przez ramię do Wren, która niezdecydowana stanęła z dubeltówką w progu:

- Do zobaczenia, Wren! Nigdy w życiu nie zrobiłbym ci najmniejszej krzywdy. A co stanie się dalej, nie wiem. Nie zachowuj o mnie złych wspomnień... Zegnaj, Wren Matthews. Jesteś wspaniałą kobietą i zasługujesz na mężczyznę, który cię będzie kochał.

Zniknął w mroku nocy, a Wren została w pustce, targana sprzecznymi uczuciami. Była wściekła na Hellera, który udając Keegana, podle ją podszedł, i rozpacziała z powodu odejścia Keegana Winslowa...

Znowu została sama.

Keegan odszedł z jej życia. Nie, on na pewno nie mógł być Hellerem. Gdyby był, to nie zrodziłoby się w niej uczucie do niego... Z drugiej strony kiedyś też myślała, że jest zakochana w Blainie Thomasie. I była pewna jego miłości. Nie, tym razem nie mogła się tak okropnie omylić...

SAMOTNI KOCHANKOWIE

Zebrało się jej na płacz. Pochlipując, odniosła dubeltówkę do szafki z bronią, omijając rozsypane na ziemi szkło. Kogo ona chce oszukać? Samą siebie? Oczywiście, że to był Heller! W głowie miała mętlik. Jeszcze nigdy nie czuła się tak przygnębiona, jeszcze nigdy nie widziała życia w tak czarnych barwach. Owszem, raz. Po wypadku, kiedy obudziła się w szpitalu i powiedziano jej o śmierci rodziców...

Keegan w jednej z rozmów powiedział jej, że nie powinna stronić od życia, powinna zakochać się, bo warta jest miłości. No i zakochała, się. W kim? W mordercy? Niemożliwe... Poszła do kuchni, usiadła ciężko na krześle i schowała głowę w dłoniach. Chlipała. Potem ocknęła się i przeszła do saloniku, gdzie stała choinka. Anioł na jej szczycie jakby się do niej uśmiechał.

Nie, to był jednak Keegan! To był na pewno Keegan Winslow. Poszedł szukać Hellera. A kiedy go pochwyci i wyśle do więzienia, to może wróci...

Usiadła na kanapce naprzeciwko choinki i załzawionymi oczami patrzyła na anioła o nieprzeniknionym spojrzeniu, które nic nie obiecywało. No cóż, trzeba się pogodzić z okrutną rzeczywistością, która nie ma nic wspólnego z romantycznym wątkiem opowieści o szczęściu, kochaniu i bajkowej miłości. Trzeba pogodzić się z faktem, że jest tylko kaleką, starą panną i źle płatną nauczycielką... I niech się nie spodziewa, że jakiś królewicz czy choćby nawrócony zły człowiek zechce wyrwać ją z jej smutnego życia... Ona sama musi wziąć się za bary z życiem. Po euforii towarzyszącej poprzednim odkryciom, iż dzięki Keeganowi potrafiła zrozumieć, że trzeba wyjść

SAMOTNI KOCHANKOWIE

133

z osamotnienia, przyszła fala rozpacz. Litowała się nad sobą, jak jeszcze nigdy dotąd. Znowu zatopila twarz w dłoniach i zalała się nowym potokiem łez.

Nagle doszło ją głośnie pukanie do drzwi. Podniosła głowę i serce zabiło jej żywiej. Północ wigilijnego dnia. Dnia wszelkich cudów! Ale nie wierzyła, że to może pukać Święty Mikołaj. Pukać mógł tylko jeden człowiek. Zerwała się z sofy i pobiegła do drzwi z radosnym okrzykiem: „Keegan!” Nie czekała na ponowne pukanie, nie pytała, tylko otworzyła drzwi na oścież.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

To nie Keegan Winslow stał w progu.

Wstrzymała oddech, w sercu poczuła skurcz. Dłonią zasłoniła usta, by nie wydać okrzyku przerażenia. Jeśli otwierając drzwi przed trzema dniami i widząc Keegana pomyślała, że to jest ktoś groźny, myliła się, teraz to określenie idealnie pasowało do stojącego w drzwiach mężczyzny. To był przerażający osobnik. Potężna sylwetka, długie czarne włosy, które strąkami opadały mu na ramiona. Miał też niechlujną brodę, która zasłaniała szyję, ciemne maleńkie oczy w nalanej twarzy o wstrętnych szerokich ustach. Całości dopełniały ślady po ospie. Miał na sobie brudną kurtkę, cuchnął odrażająco.

Wren, przerażona, cofnęła się o krok. Mężczyzna wszedł do środka, odtrącając ją i zatrzasnął za sobą drzwi.

Swoimi ciemnymi oczami zaczął rozglądać się bacznie po kuchni, a potem badawczy wzrok przeniósł na kobietę.

- Kim pan jest? - wyjąkała, niemal szcękając zębami. Mężczyzna wykrzywił twarz w chytrym uśmieszku,

odslaniając wyszczerbione żółte zęby.

- Nazywam się Connor Heller i składam pani towarzyską wizytkę.

SAMOTNI KOCHANKOWIE

135

Pozornie grzeczny ton mroził krew w żyłach i był gorszy, niż gdyby zaczął miotać przekleństwa.

- Ja pana nie zapraszałam. Proszę wyjść! - Wren odzyskała panowanie nad sobą i postanowiła nie okazywać strachu.

- Nie jest pani gościnną, droga pani.

- Żądam, by pan natychmiast opuścił mój dom, panie Heller!

- A co, jestem gorszy od pani chłoptasia?

- Jeśli natychmiast pan nie wyjdzie, to zadzwonię do szeryfa.

- Nigdzie nie zadzwonisz, panienko. Przed trzema dniami odciąłem ci telefon, a burze śnieżne utrudniają robotę chłopakom z telefonów. Jeszcze w tę okolicę nie dojechali. Ja panienkę obserwowałem. Czekałem w pobliżu, żeby pani chłoptas się stąd zmył.

- Zupełnie nie wiem, o czym pan mówi...

Przyszło jej do głowy, że ten człowiek ma twarz podobną do Petera Lorre, aktora. Lorre zawsze grał role czarnych charakterów. Ale chyba nie był tak przerażający jak ten osobnik, który wdarł się do jej kuchni.

- Panienska dobrze wie, o czym mówię. Widziałem przez okno, jak się cmokaliście z Winslowem.

- Podglądał pan nas!

- Ano podglądałem. I co z tego?

- Po co pan przeciął kabel telefoniczny?

- Przed trzema dniami sam się tu miałem wmeldować i ten cholerny Winslow mnie uprzedził.

Zaskoczył mnie, głupi drań. Bo że głupi z niego detektyw, to fakt. W nocy nie potrafiłby własnego tyłka znaleźć, gdyby go zgubił.

SAMOTNI KOCHANKOWIE

Szedłem dosłownie dziesięć metrów za nim. Byłem pod oborą, kiedy tu pukał...

- I przez te trzy dni był pan na mojej farmie? - spytała drżącym głosem Wren.

- Ano tak, panienko. W tej piwniczce ziemnej.

- Po co?

- Ano żeby podskoczyć do domu mego starego. Odwiedzić go na święta.

- No, to po co zatrzymał się pan u mnie?

- Bo mnie pogoda zaskoczyła, a wiedziałem, że jest panienka na farmie sama... I Jo jest po drodze do mego starego. Ale ten cholerny Keegan Winslow popsuł mi cały plan. On i pogoda. Ale teraz już będzie dobrze...

- Keegan tu zaraz wróci.

- Na pewno nie wróci. Szuka mnie.

- I znajdzie.

- Ten idiota? Od miesiący mnie szuka, no i co? Powiedziałem, że on własnego tyłka po ciemku nie znajdzie.

- Może nie powinien pan być tego taki pewien. Lepiej niech się pan stąd wynosi. Niedawno mówili o panu w radiu. Ze widziano pana w okolicy. Nie tylko Keegan pana szuka, cała policja też...

- Mówili w radiu? - Heller wydawał się zaskoczony, ale machnął ręką i dodał: - Dam sobie radę.

Wymykałem się im sto razy, wymknę sto pierwszy. - Zmienił temat: - Chcę coś do jedzenia.

Nie czekając na jej reakcję, poszedł w głąb kuchni i otworzył lodówkę. Znalazł resztki kury i zaczął ogryzać pozostałe udko. Gdy skończył, czknął, a kości wyrzucił do kosza, po czym oblizał palce.

SAMOTNI KOCHANKOWIE

137

- Panienska dobrze gotuje! - stwierdził. - Rzeczywiście palce lizać...
- Dlaczego pan to zrobił? - spytała Wren.
- Niby co?
- Zamordował żonę i dziecko Keegana Winslowa?
- Zabił mojego braciszka, Victora. Trzeba było wyrównać rachunki, no nie?
- I co to dało? - zapytała tonem, jakim zadawała pytania dzieciom w szkole. - Poszedł pan do więzienia, a teraz musi się pan kryć. A pański brat jak nie żył, tak nie żyje.
- Ale jaka przyjemność dołożyć draniowi, który zabił Victorka. Zastosowałem wobec niego jego własne lekarstwo. Ty mojego brata, ja twoją babę. To pani kochaniatko już sporo oberwało.
- Jakie znowu moje kochaniatko?

Natychmiast pożałowała pytania. Daje się wciągać w dyskusję z prymitywnym bandytą.

- Ja was widziałem przez okno. Widziałem, jak panienska do niego gały wytrzeszczała. Tak, panienko, podejrziałem to i owo. A on też się do panienki pali. To było widać, że aż ha! Wygłodzony facet. Baby własnej już nie ma...

Wren zignorowała zawartą w ostatnich zdaniach sugestię. Heller mówił dalej:

- Ta jego baba też nie była ładna. On pewno lubi takie ciche przywiedle słodkie kwiatuszki... - Wyszczrzył żółte zęby. - A ja jego i tę jego, jak tam jej... Maggie... też podejrziałem kilka razy, zanim ją podsmażyłem. Ależ on był na nią napalony! Aż dziw bierze. Oni nigdy się nie

SAMOTNI KOCHANKOWIE

kłócili. Nigdy... Zawsze tylko z dzióbków sobie jedli i dzióbkami tręcali. No i on jest ciągle napalony, a baby nie ma... ha, ha, może ty mu, panienko, pomożesz...

- Jest pan ordynarnym gburem - oświadczyła Wren. - I złym człowiekiem.

Stała blisko drzwi do holu i szafki z bronią tuż za ścianą, ale bała się, że każda próba chwycenia broni wywoła gwałtowną reakcję.

- Ja wiem, że salonowiec to ja nie jestem, ale ten głupek Winslow...

- Niech pan przestanie wyszydzać Keegana Winslowa. To bardzo wartościowy człowiek i jestem pewna, że wsadzi pana za kratki na resztę życia.

- Ha, zadurzyłaś się w nim, panienko, co? Ckni się do niego kulawej babce, tak? Dobrze wiedzieć, dobrze wiedzieć. .. Czekałem na to, żeby się upewnić... I teraz jestem pewien.

- Czego pewien?

- Musiałem się upewnić, że oboje wyrywacie się do siebie...

- Po co panu taka informacja?

- Żeby był sens zabicia panienki.

Pod Wren ugięły się nogi. Ten człowiek jest niesłychanie groźny.

Heller zacierał ręce.

- Zabiję panienkę i zemszczę się na draniu po raz drugi - oświadczył.

Keegan przebijał się przez śnieżycę, wiatr dał mu prosto

SAMOTNI KOCHANKOWIE

139

w twarz. Nie mógł zapomnieć wyrazu twarzy Wren, w chwili gdy wychodził z domu.

Wiedział, że zachował się okrutnie, ale tylko po to, by być dobrym. Tylko pozornie był to paradoks.

Przypomniawszy sobie starą piosenkę ze słowami, których znaczenie zrozumiał dopiero teraz. To było coś o tym, że czasami dobroć przejawia się pozornie okrutnym postępowaniem. Że lepiej odejść i złamać komuś serce, niż pozwolić się kochać, nie mając mu nic do ofiarowania. Tak, tak jest stanowczo lepiej. Nie miał prawa wkraczać w życie Wren, a ona nie miała prawa ingerować w jego życie, jeśli tę marną egzystencję można nazwać życiem.

Zanurzył dłonie głęboko w kieszenie i pochylony, by oprzeć się wichurze, pokonywał płaski oblodzony odcinek drogi. I ciągle rozmyślał.

Miał święta. Bóg sprawił cud. Na Boże Narodzenie ofiarował mu kilka godzin z aniołem... Ale on ten czas źle wykorzystał. Kto wie, czy anioła nie sprowadził na złą drogę, zaszczepiając mu pragnienia, których aniołowie nie potrzebują. Był wściekły na siebie, ale nie ta wściekłość go pożerała, tylko głęboka nienawiść i pragnienie zemsty. Gdyby pozbył się nienawiści i żądz zemsty, to miałby prawo pokochać Wren. Ale nie miał prawa przyjmować jej miłości, bo był nikim, był pusty i wyjałowiony... Wren wkrótce zorientowałaby się, że on nie jest wart kochania. Że wszystko w nim się wypaliło w tamtym pożarze przed półtora rokiem. I na pewno by go zostawiła. Byłby znowu sam.

Nie, nie, nie! Nakazał sobie, by myśleć tylko o Hellerze, bo Heller jest blisko, a Heller to teraz jego cel. Masz

SAMOTNI KOCHANKOWIE

misję do wypełnienia, masz misję do wypełnienia...! Powtarzał to bez końca, bo uparte myśli ciągle gdzieś uciekały. Nawet niedaleko, zaledwie kilometr za jego plecami, do farmy mlecznej z siedemnastoma holsteinami i jedną cudowną dziewczyną.

Przez minione sześć miesięcy Keeganowi udawało się wyłączać sumienie. Potrafił ignorować wszelkie wątpliwości, jakie podsuwało mu sumienie na temat słuszności jego postępowania. A od trzech dni, od chwili poznania Wren, z tym wyłączaniem było znacznie gorzej, a wątpliwości rosły. Właściwie dopiero teraz, wlokąc się tą oblodzoną drogą, zaczynał pojmować, jak bardzo te trzy dni go zmieniły. Na zmianę wpłynęło wszystko, co mówiła, robiła, co sobą reprezentowała Wren. Jej uśmiechy, jej czułość, troska o jego zdrowie, o jego dobro, o jego przyszłość... Jej zrozumienie dla jego cierpienia i nie znanej jej w szczegółach tragedii z przeszłości.

Przyszło nagłe olśnienie: Wren stała się światłem jego życia! Gdy o niej myślał, serce biło mu dwa razy szybciej. Wren! Słodka, niewinna, niepewna siebie Wren.

Niepokoilo Keegana, że fizyczna niesprawność tak zaważyła na jej opinii o własnych szansach życiowych. Nie powinna była się temu poddawać. Należało urozmaicać swoje życie, ubarwiać je między innymi po to, aby to lekkie utykanie stało się niewidoczne przy bogactwie jej osobowości. Bo osobowość Wren jest przebogata. Wren jest poza tym silna w pokonywaniu przeciwności losu i odważna. Jest roztropna i ma miły charakter. Ani śladu kłótności. Tylko że trzeba jej to wszystko uświadomić, bo ona nie zdaje sobie sprawy z tego, jaka jest wartościowa.

SAMOTNI KOCHANKOWIE

141

Poprawił na szyi szalik, który mu ofiarowała. Szalik jej roboty. Wren ofiarowywała mu także swą miłość, ale on ze strachu odrzucił ten podarunek...

Zatrzymał się w pół kroku, wyprostował i głęboko odetchnął. Mroźne powietrze napełniło mu płuca. Poczul ból. Zakręciło mu się w głowie, ale po chwili myślał już jasno i wiedział, że stoi w obliczu ważnego wyboru. Kochać czy nienawidzić? Mścić się czy wybaczyć? I najważniejsze: Wren Matthews czy Connor Heller?

Keegan uniósł twarz ku sypiącemu śniegiem niebu i wyszeptał:

- Powiedz mi, Boże, co mam wybrać, co mam robić? Daj mi jakiś znak.

Czekał w milczeniu, ale słyszał tylko wiatr. Ręce zacisnął w pięści. Żadnego sygnału! A czego się spodziewał? Pioruna i błyskawicy? Musi coś usłyszeć. Przecież to jest dzień Bożego Narodzenia! Usłyszał tylko głośnie bicie własnego serca. Otóż to! Wsłucha się w to bicie, w nadziei, że może wychwyci coś, co mu pomoże podjąć decyzję i dokonać wyboru.

Wysilił słuch. Spojrzał w kierunku farmy Wren. Przez chwilę wydawało mu się, że widzi światełka choinki za oknem. Wzruszył ramionami. Niemożliwe, przecież od domu Wren dzieliła go gęsta zasłona śniegu i co najmniej kilometr czarnej nocy. Nagle znowu zakręciło mu się w głowie i gdzieś z oddali napłynęły jakieś dźwięki. Ale ze zbyt dużej odległości, aby mógł zidentyfikować.

Muzyka!

Zdumiony Keegan rozejrzał się dokoła. Skąd muzyka w tym pustkowiu? Pusta droga, żadnych samochodów,

SAMOTNI KOCHANKOWIE

żadnych domów w pobliżu... Tylko świeży śnieg, gołe drzewa i zbielełe pola. Muzyka była coraz wyraźniejsza i wkrótce rozpoznał melodię: „Gdzieś daleko za górami”. Śpiewała kobieta. I fałszowała. Znał ten głos! To jego żona Maggie! Niemożliwe! Przetarł uszy dłońmi w rękawicach. Śpiew był coraz bliższy, coraz głośniejszy, aż wreszcie zaczął po prostu huczeć mu w głowie.

- Co to ma znaczyć? Co to jest? - wykrzyknął.

Ze śnieżnej zasłony wyłoniła się biała zwiewna postać. Keegan upadł na kolana. To chyba nie postać, to tylko dziwna jasność, jakby rozstąpiły się chmury i przedarła się przez nie luna księżycowego światła. Ale nie! To jednak jest postać ludzka! Coraz wyraźniejsza... Rozpoznał nawet twarz... To Maggie, jego zmarła żona!

Ma halucynacje. Czyżby wróciła mu gorączka? Czy ostatecznie zwariował przyduszony cierpieniem? Zatopił twarz w dłoniach i zacisnął powieki. Czuł straszliwy ból i ucisk w klatce piersiowej.

- „Ona cię kocha, Keegan...”

Usłyszał to wyraźnie. Otworzył oczy i podniósł głowę. Maggie nadal majaczyła w białej poświacie.

- Kto mnie kocha? - spytał.

- „Wren. I ty ją pokochasz, jeśli tak postanowisz. I jeśli zapomnisz...”

- O czym mam zapomnieć?

- „O gniewie, nienawiści, zemście”.

- A Heller?

- „Dla mnie i dla Kate jest już za późno. Nie żyjemy. Ale dla ciebie i Wren nie jest za późno.

- Co ja mam zrobić? - jęknął.

SAMOTNI KOCHANKOWIE

143

- „Masz kochać - padła odpowiedź. - Wren cię potrzebuje, a ty potrzebujesz jej. Nie myśl o mnie i o Kate. Jesteśmy obie szczęśliwe i bezpieczne... Chcemy, żebyś i ty był szczęśliwy”.

- Ja cię zawiodłem. Ciebie i Kate...

- „Przebacz sobie i idź do Wren!” To był rozkaz.

I nagle Keegan doznał uczuć, o których istnieniu dawno już zapomniał. Opanowały go spokój, radość, stan przedziwnej błogości i podniecenie. Poczul się też wolny i niesłychanie lekki, jakby przestał cokolwiek ważyć.

Wolno mu kochać i musi kochać! Ma kochać Wren! Podniósł się z kolan i bez dalszego namysłu ruszył szybkim krokiem z powrotem tam, skąd przyszedł. Do mlecznej farmy Wren Matthews.

Z tranzystorowego radia na parapecie Bing Crosby wyśpiewywał swoje „Świąteczne dzwoneczki”. Wren siedziała sztywno na krześle pośrodku kuchni. Oczy miała wlepione w pijanego mężczyznę, który opasany jej bożonarodzeniowym fartuchem tańczył dokoła stołu.

Connor Heller w jednym ręku trzymał buteleczkę z jej benzynowym rozpuszczalnikiem, w drugiej butelkę whisky. Między grubymi wargami trzymał zapalonego papierosa. Oczy osadzone głęboko w nalanej twarzy świeciły złym blaskiem. Na brudnej poczochranej brodzie zatrzymały się okruchy trzech bułek z orzechową masą, pożartych przed chwilą.

- Ale zabawa! - wykrzyknął, robiąc pijackie piruety. Na chwilę odsłoniła się poła jego wyrzuconej na spodnie koszuli i Wren dostrzegła zatknięty za pasek pistolet.

SAMOTNI KOCHANKOWIE

- Ale zabawa, co? - powtórzy! tym razem w formie pytania.

Ponieważ Wren milczała, stanął przed nią w groźnej postawie, przysunął blisko twarz i ryknął:

- Niemowa jesteś? Zadałem ci pytanie! Wren nadal milczała.

- Ha! Lepsza jesteś od tej pierwszej suki Winslowa. Darła się wniebogłosy i płakała.

W tym momencie Wren zrozumiała pragnienie zemsty Keegana. To bydlę w ludzkiej skórze powinno być zamknięte do ostatniego dnia życia. I jak na nią, wyraziła się bardzo dosadnie:

- Takich zwierzaków, jak pan, nie puszcza się między ludzi, ale trzyma się w klatce, póki dobry pan Bóg nie przeniesie ich do piekła.

- W żadnej klatce długo mnie nie utrzymają. Prysnę znowu - odparł.

- Bydlak! - wyrzuciła z siebie Wren, sama zdziwiona własną odwagą i słownictwem.

Puściły wszystkie tamy. Po raz pierwszy w życiu spotkała kogoś, na kim jej naprawdę zależało, i bezpowrotnie zniszczyła tę szansę. Znowu nie posłuchała instynktu, który jej mówił, że Keegan jest dobrym człowiekiem. Zważyła w niego. Zważyła w człowieka, którego szczerze pokochała zaledwie po trzech dniach znajomości. Jacy byli do siebie podobni, ileż ich łączyło... Przede wszystkim cierpienie. Mogli mieć siebie, gdyby się postarali. Wszystko przepadło, Heller ją zabije... Heller zaczął chichotać, wyszczerzając żółte zęby. Potem kilka razy pociągnął z prawie pustej już butelki. Wren

SAMOTNI KOCHANKOWIE

145

przebiegała wzrokiem całą kuchnię w poszukiwaniu jakiegoś narzędzia obrony. Na haku nad piecem wisiał rondel z długą rączką. Ciężki, żeliwny rondel. Czy zdążyłaby dopaść pieca, nim Heller wyciągnie broń?

- Pan chyba wie, że dziś jest Boże Narodzenie - powiedziała, siląc się, by głos brzmiał spokojnie.

- Ano wiem, ale co z tego? - Jej odezwanie wyraźnie go zdziwiło.

- Jest takie powiedzenie, że jak się kogoś zabija w ten dzień, to jedynym prezentem w skarpetce zawieszanej na kominie jest sadza.

- Panienka wierzy w Świętego Mikołaja i takie różne bzdury? - spytał kpiąco.

- Nie wierzę. Ale w cuda wierzę.

- To świetnie, bo potrzeba będzie cudu, żeby cię dzisiaj ocalić, kuternogo! - wypalił brutalnie.

Krew uderzyła jej do głowy. Zaraz pokaże temu prymitywowi, co potrafi kuternoga. Zacisnęła zęby, skoncentrowała wszystkie siły, po czym zerwała się z krzesła i rzuciła w stronę pieca.

Zaskoczyła tym Hellera, który za nią skoczył, ale nagle stwierdził ze zdziwieniem, że ma obie ręce zajęte. Nie potrafił się zdobyć ani na rzucenie buteleczki z benzyną, ani butelki z resztką whisky.

Wren nawet się nie obejrzała. W pewnej chwili poczuła szarpnięcie za flanelową koszulę, ale wtedy już trzymała w obu dłoniach rondel. Zamachnęła się nim jak tenisista rakieta i z całej siły zadała Hellerowi cios w głowę.

Heller jęknął i osunął się na kolana. Wren, nie tracąc czasu, rzuciła się do drzwi. Były zaryglowane. Drżącymi

SAMOTNI KOCHANKOWIE

palcami zaczęła zмагаć się z rygłem i trudno obracającym się kluczem. Nie zdąży, bo słyszała, jak dryblas ciężko dysząc, dźwiga się z ziemi...

- Ja ci pokażę, suko...! - ryknął.

Wren usłyszała głucho uderzenie o ziemię, a potem poczuła zapach benzyny... O Boże, on chce podpalić dom! A po chwili pstryknięcie zapalniczki. Zaraz potem uderzyła ją fala gorąca.

Usiłując otworzyć zaciętą zasuwę, odwróciła głowę. Palila się podłoga w kuchni i strużka ognia płynęła w jej kierunku. Chyba śmiertelny strach dodał jej siły, bo wreszcie zasuwę puściła. Wren otworzyła drzwi i tak jak stała, w nocnej koszuli, wyskoczyła na dwór. Pośliznęła się na schodku ganku i w ostatniej chwili chwyciła się balustrady, by nie spaść.

Za sobą słyszała przeraźliwy śmiech Hellera, który z głębi domu wykrzykiwał:

- Pal się, babo, pal się, kuternogo...

Wren odwróciła głowę i przerażona patrzyła, jak jej dom zaczyna się palić. Wiedziała, że powinna uciekać, ale stała jak skamieniała z szeroko otwartymi ustami...

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Keegan był zmęczony tempem, jakie sobie narzucił, ale nie zwalniał kroku. Wiatr wiał mu w plecy. Był już blisko farmy, wydawało mu się nawet, że widzi w oknie saloniku migające lampki na choince. Ale nagle poczuł dym.

- O Boże, tylko nie to...! - wykrzyknął.

Wiedziony instynktem, był pewny, że to Heller. Ignorując ból w klatce piersiowej, Keegan puścił się pędem, tracąc chwilami równowagę na oślizłych płatach zlodowaciałego śniegu. W ostatniej chwili zawsze ją odzyskiwał, podpierany myślą o Wren, którą za wszelką cenę postanowił ocalić. Modlił się, by nie przyjść za późno.

Wren patrzyła na dom, w którym na szczęście ogień przygasał, bo benzyny było mało i wypaliła się, nim sprzęt kuchenny zdołał się zająć. Ale gdzie jest Heller? Strach powrócił ze zdwojoną siłą.

Jakby na wezwanie Heller wyłonił się zza węgła domu i wydał okrzyk indiańskiego wojownika.

Nim zdołała się cofnąć, chwycił ją za włosy, potem szarpnął, stawiając na nogi.

Zebrała siły i usiłowała kopnąć Hellera w przyrodzenie. Usunął się i zaśmiał. Potem pochwycił jej szyję jak

SAMOTNI KOCHANKOWIE

w kleszcze i mocno ścisnął zgiętą w łokciu lewą ręką. Prawą ręką wyjął zza paska broń i lufę przyłożył do jej głowy.

- Czas spotkania ze stwórcą nadszedł, kuternogo! -oświadczył.

W tym momencie z mroku dobiegł głos:

- Zostaw ją, Heller. Mam cię na muszce. Puść ją, ona nie ma z tym nic wspólnego.

Mimo lufy, której dotyk czuła na skórze, Wren poczuła olbrzymią ulgę. I radość, bo Keegan do niej wrócił! Do niej, bo przecież nie mógł się spodziewać, co tu zastanie.

- I co mi zrobisz, głupi policjancie? - szydził Heller.

- Naplujesz na mnie?

- Keegan, uważaj. On przyłożył mi broń do głowy!

- wykrzyknęła Wren i nagle ze zdumieniem stwierdziła, że nie czuje już ucisku lufy.

Heller skierował broń w stronę Keegana, który wyłonił się z mroku.

- Zostawię kuternogę, może mi się przyda, ale załatwię cię, Keegan - zarechotał. - Teraz dokończę to, co zacząłem przed półtora rokiem. Zaraz umrzesz, a ja zabawię się z twoją babką. Zatańczę z nią na twoim grobie.

- Nie!. - krzyknęła nagle Wren i z całej siły łokciem uderzyła w klatkę piersiową trzymającego ją nadal Hellera.

Heller wrzasnął, podbita ręka z rewolwerem uniosła się wysoko, padł niespodziewany strzał.

Wren zagryzła mocno wargi i poczuła ból. Była ogłuszona, z oczu kapąły nieproszone łzy. Czuła zapach prochu.

Dalej wszystko potoczyło się błyskawicznie. Connor Heller zatoczył się do tyłu, Keegan dopadł go jednym

SAMOTNI KOCHANKOWIE

149

susem i powalił na ziemię, wytrącając jednocześnie broń z ręki mordercy. Usiadł okrakiem na powalonym bandycie i sięgnął po leżący w zasięgu ręki pistolet.

- Daj mi, draniu, jeden powód, dla którego miałbym cię nie zabijać. Daj choć jeden, a zostaniesz przy życiu.

- Masz raz w życiu okazję, głupi policjancie, to z niej skorzystaj - odparł pijany Connor.

- Nie zabijaj go! - prosiła Wren. - Nie sprawiaj mu tej satysfakcji. On na to czeka, bo wie, że jak go zabijesz, to trafisz do więzienia. On tylko tego chce...!

- Zabij mnie, bo ja do więzienia i tak nie wrócę. Ty mnie tam zastąpisz, glino.

- Jeśli go zabijesz, to okażesz się nie lepszy od niego. Nie rób tego - błagała Wren.

Keegan był nadal zdecydowany dokonać zemsty. Powróciła dawna nienawiść, zatarło się wspomnienie rozmowy z Maggie... Po chwili coś jednak odżyło w pamięci...

- Wstawaj! - rozkazał.

Gdy Heller posłuchał, popchnął go w kierunku furgonetki Wren. Tam związał go znaną w pojeździe linką i jak pakunek rzucił na zimną blachę podłogi.

- Zamarznę na śmierć - zaskowyczał Heller.

- Jeśli będziesz miał szczęście, to zamarzniesz - odparł Keegan i spytał Wren: - Wszystko w porządku?

- Chyba tak...

- W tym zimnie możesz nie zdawać sobie sprawy... Lepiej sprawdzę... - Podeszedł i dokładnie obejrzał głowę i szyję, którą w tak brutalny uścisk wziął Heller. - W porządku. Tylko kilka zadrapań na szyi...

- Jeśli natychmiast nie wrócę do domu, to dostanę

SAMOTNI KOCHANKOWIE

zapalenia płuc - oświadczyła. Wren. - Może już dostałam; przecież sterczę tu w samej koszuli.

- O Boże, nie zdawałem sobie sprawy... - Keegan chwycił Wren i pociągnął ją do otwartych drzwi domu.

Gdy weszli, Wren zarzuciła mu ręce na szyję. Przytulił ją i pocałował w skroń. Dygotała.

- Już wszystko dobrze. Jestem tu i zostanę...

- O, Keegan! Przepraszam, że na chwilę zwątpiłam. Ale tyle miałam rozczarowań w życiu, że trudno było mi uwierzyć, iż wreszcie uśmiechnie się do mnie szczęście.

- Rozumiem, kochanie. Teraz ubierz się, bo zaraz musimy odwieźć Hellera na policję. Przed wyjazdem dobrze sprawdzę, czy nie ma tu gdzieś jakiegoś potencjalnego zarzewia ognia, czy nic się nie tli. Teraz może się zaledwie tlić, a jak wyjedziemy, to buchnie płomieniem...

Po półgodzinie wyjechali, a po kolejnej byli już w Stephenville w komisariacie. Upłynęły jednak jeszcze dwie godziny, zanim uporali się z formalnościami.

Do domu wracali w milczeniu, przeżywając nie tylko minione wydarzenia, ale zastanawiając się, co będzie dalej.

Keegan nie żałował, że nie zabił Hellera. Dokonał aktu zemsty, ale jego sumienie pozostało czyste. Nie był jednak zupełnie pewien swojej przyszłości. Czy jest w niej Wren? Czy Wren chce w niej zaistnieć?

W tym samym czasie Wren rozmyślała gorączkowo nad swoją przyszłością. Czy rzeczywiście zyska pracownika na farmie? A może kogoś więcej niż pracownika...?

Gdy podjechali pod dom, Wren powiedziała:

- Jestem z ciebie bardzo dumna...

- Ty ze mnie? - zdziwił się. - To ja jestem dumny

SAMOTNI KOCHANKOWIE

151

z ciebie. Jesteś bardzo odważna. Gdybyś nie dała tego kuksańca Hellerowi, to oboje byśmy teraz nie żyli. W oczach Wren zobaczył łzy.

- Co się stało, kochanie? Ty płaczesz? - Otarł jej łzę, która właśnie toczyła się po policzku.

- To są łzy szczęścia, kochanie. Że nie zabiłeś Hellera, że mogę cię mieć...

- Nie zabiłem go właśnie dlatego, aby móc pozostać z tobą.

- Przyjmujesz moją propozycję pracy? - spytała zalotnie.

- Przyjmuję, ale żądam sporego wynagrodzenia.

- Ooo?

- Masz mnie mocno całować, często się uśmiechać, no i namiętnie kochać...

- Hmm, muszę się zastanowić, czy mnie na to stać... - Przez chwilę udawała, że walczy z myślami, po czym odparła z wahaniem: - Dobrze, ale to będą tylko dzienne angaże. Ty mi je musisz dokładnie w tym samym wymiarze zwracać...

- Akceptuję - odparł. - Zaczynamy od dziś. Od dziś masz zacząć mnie uczyć, jak bardzo mam cię kochać.

Wspięła się na palce i pocałowała go w usta, a potem szepnęła:

- Wesołych Świąt, Keeganie, mój ukochany! Przytulił ją i głaskał po głowie.

- W podarunku na te święta obiecuję ci, że będę pojętnym uczniem - powiedział. - Wesołych Świąt...!

EPILOG

Miłość Keegana do Wren rosła. Okazał się w istocie nad wyraz pojętym uczniem...

Keegan stał teraz na trawniku i rozglądał się dokoła. Nadeszła znowu Wigilia, aje pogodę w tym roku mieli zupełnie inną niż w poprzednim. Innym człowiekiem był też Keegan. Keegan mściciel został tylko wspomnieniem. Słońce grzało, a temperatura powietrza wynosiła miłe osiemnaście stopni. Na podwórku w plastikowych saniach siedział plastikowy Święty Mikołaj. Szóstka plastikowych reniferów, zaprzężonych do sań, czekała cierpliwie na odjazd. Zza drzew wyglądały elfy, a świetlne girlandy oplatały cały dom. Wkrótce mieli przybyć goście. Keegan był ciekaw wyrazu ich twarzy, gdy zobaczą rezultat wielodniowych wysiłków państwa Winslow.

Ani przez chwilę nie żałował decyzji podjętej przed rokiem podczas wędrówki zaśnieżoną drogą. Nie żałował też impulsu, który kilka dni przedtem kazał mu szukać schronienia w izdebce nad oborą.

Miniony rok był dla niego wspaniałym okresem powracania do życia. Każdy dzień wnosił coś nowego. Wren i on stanowili doskonałą parę. Chodzili na długie spacery, jeździli do kina, wieczory spędzali przy kominku. Na wiosnę zbierali dzikie kwiaty, w lecie urządzali pikniki

SAMOTNI KOCHANKOWIE

153

i wieczorami wpatrywali się w rozgwieżdżone niebo. Rankami zaś budzili się ze świadomością, że pogrzebali przeszłość i że kochają i są kochani. Każdy kolejny dzień był lepszy. Ich związek stawał się coraz mocniejszy, coraz trwalszy i coraz wspanialszy.

We wrześniu Keegan formalnie się oświadczył. Wren była wniebowzięta. Po kilku tygodniach wzięli cichy ślub. Ponieważ nadal prowadzili farmę, nie mogli wyjechać na długi miodowy miesiąc. Był nim zaledwie jeden weekend w San Antonio, ale za to jaki wspaniały. Najromantyczniejszy okres w ich życiu. Nawet teraz, wspominając owe dni i noce, Keegan czerwienił się jak sztubak. Westchnął szczęśliwy i poszedł w kierunku kuchennego wejścia do domu. Wytarł nogi na słomiance z napisem „witajcie” i wszedł do domu. Pierwsze, co zobaczył, to wazon z bukietem gwiazd betlejemskich na kuchennym stole. Zerknął do saloniku i przez chwilę przyglądał się wspaniałej choince obwieszanej bombkami i obłożonej stertą prezentów.

- Gdzie jesteś, kochanie? - zawołał. - Wren, gdzie jesteś?

Wren wyszła z sypialni. Jak ona wypiękniała, pomyślał. Z zamkniętego pąka rozkwitła róża... Wren uśmiechała się, ale w jej oczach błyszczały łzy.

- Co się stało, kochanie? - zapytał, czując ogarniający go lęk.

- Rozmawiałam właśnie przez telefon z doktorem Winstonem...

- Jesteś chora? - Był przerażony.

- Nie. Nie jestem chora...

- No, to po co dzwoniłaś w wigilijny dzień do lekarza? - Nagle domyślił się. - Jesteś w ciąży?

SAMOTNI KOCHANKOWIE

Szeroki uśmiech był odpowiedzią na jego pytanie.

- Masz coś przeciwko temu? Właściwie nigdy o tym nie mówiliśmy...

Keegan podbiegł i wziął żonę w ramiona, a potem zawirował z nią w radosnym tańcu.

- Przestań, bo dostanę zawrotu głowy. - Gdy się zatrzymał, Wren powiedziała: - Tak sobie myślałam, że jeśli będzie to dziewczynka, to damy jej imiona Katherine Margaret, Kate Maggie. Zgadzasz się?

Poczuł ściskanie w gardle, więc tylko skinął głową.

- Ale jeśli chłopiec, to nazwiemy go Keegan. Keegan junior.

- Bardzo cię kocham - powiedział cicho. - Pani Winslow, obawiam się, że będę musiał zaciągnąć panią teraz do sypialni. To jest silniejsze ode mnie...

- Panie Winslow, za chwilę pojawią się pierwsi goście. Nie ma czasu na niecne zabawy.

- Nie umrą z głodu, jeśli trochę poczekają. Mogą też wykopać sobie kilka rzodkiewek z grządki. Wren westchnęła.

- Pan zawsze znajdzie rozwiązanie, panie Winslow. Dobrze, niech podkarmią się rzodkiewkami. Bardzo cię kocham, Keeganie Winslow... - Wtuliła głowę w jego ramię. - Wszystkiego najlepszego, przyszły tatusiu - szepnęła.

- Wszystkiego najlepszego, przyszła mamusiu - odparł.

